Rok VI. Maj 1900 r. Nr. 5.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

miesięcznik polityczny i społeczny

pod kierownictwem J. L. Popławskiego

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Koralnicka, 6.

PODWÓJNE BANKRUCTWO.

W sądach naszych o stosunkach galicyjskich nie grzeszyliśmy nigdy pesymizmem, właściwym całej niemal prasie polskiej postępowej i demokratycznej. Przeciwnie, podnosiliśmy zawsze objawy dodatnie życia politycznego i społecznego tej prowincyi, staraliśmy się prostować uprzedzenia nieuzasadnione i hamować zapędy przesadnego krytycyzmu. To stanowisko wobec spraw i stosunków galicyjskich ściągało nawet nieraz na pismo nasze zarzut przeniewierzania się zasadom postępowym i demokratycznym, które w pospolitem mniemaniu wymagają koniecznie zaprawy z żółci i śliny, gdy zaś mowa o Galicyi — potępiania lub wyszydzania istniejącego stanu rzeczy.

I dziś, gdy przystępując do scharakteryzowania położenia Galicyi zaznaczamy z góry w nagłówku artykułu, że wnioski nasze wypadną ujemnie, podkreślamy jednocześnie, że w życiu politycznem i społecznem kraju widzimy objawy dodatnie, które nie pozwalają wątpić o jego przyszłości, widzimy — jeżeli nie we wszystkich to w wielu dziedzinach stosunków — zaczątki lub nawet poważne już podstawy pomyślnego rozwoju.

Taką podstawą jest przedewszystkiem niewątpliwy i coraz szybszy wzrost świadomości politycznej i społecznej warstw ludowych. Dokładniej objaw ten określając, należałoby go raczej nazwać dążeniem tych warstw do zdobycia samodzielności politycznej i społecznej, świadomem swego celu, ale nieświadomem jeszcze właściwych dróg i środków, za których pomocą można ten cel osiągnąć.

Ruch ludowy, do którego zaliczamy i ruch robotniczy, organizujący się pod sztandarem socyalistycznym, niejednolity, rozstrzelający się w różnych kierunkach, przybierający różne nazwy i formy, w istocie swej dotychczas żywiołowy, wykazujący nieraz nieujętą w karby, nieuświadomioną energię instynktów pierwotnych — jako siła twórcza w sprawie przekształcenia stosunków politycznych i społecznych nie

może być dziś *jeszcze* zużytkowanym. Programy tych stronnictw, krystalizujące to, co jest świadomem w ich dążeniach przynajmniej dla kierowników i wogóle światlejszych przedstawicieli, najżyczliwiej nawet oceniane, nie mogą wytworzyć programu wszechstronnej i radykalnej reformy stosunków społecznych i politycznych, coraz pilniejszej w Galicyi. Socyaliści, którzy mają program najwyraźniejszy — dla inteligencyi doktrynerski, dla mas robotniczych i chłopskich praktycznie oportunistyczny — nie uwzględniają w nim najważniejszych zadań narodowych. Inne stronnictwa ruchu ludowego, nie wyłączając najbliższego nam i najsympatyczniejszego, które się po prostu »ludowem« nazywa, mają w programach obok ogólnikowo sformułowanych zadań ogólnych bardzo określone i szczegółowe postulaty praktyczne, obejmujące szczupły zakres stosunków.

Niejasne, nawpół świadome dążenia i drobiazgowe żądania nie mogą być podstawą reformy politycznej i społecznej. Ale ruch ludowy, niezdolny do roli twórczej w tej sprawie, dziś już przedstawia zasób sił, wystarczający do przeprowadzenia reformy pożądanej. Zespolenie tych sił i odpowiednie ich zorganizowanie byłoby zadaniem względnie łatwem nawet w stosunkach galicyjskich, gdyby inteligencya demokratyczna miała jakiś program określony, gdyby miała świadomość nietylko celów, do których dąży, ale i środków działania.

Niestety, nie ma ta inteligencya przewodniej myśli politycznej, narodowej i społecznej, lub sama nie uświadomiła jej sobie jeszcze. Nie tylko jej charakter polityczny, ale i jej zmysł polityczny jest zniepra wiony. Od lat trzydziestu tłumiono i wyszydzano wszelką śmielszą myśl polityczną, wszelką inicyatywę, wychowano całe pokolenie w kulcie poziomego, ciasnego utylitaryzmu politycznego. I oto dziś, gdy potrzeba szerokich poglądów, śmiałych postanowień, gdy potrzeba łamać rutynę, szukać dróg nowych — nie ma ludzi, zdolnych do takiego działania i nawet do zrozumienia jego konieczności.

A taka konieczność staje się coraz bardziej wyraźną nawet dla tych, którzy »takie widzę świata koło, jakie zakreślą tępemi oczy« mężów stanu z Koła polskiego i biurokratów galicyjskich. Coraz jaśniejszą i powszechniejszą staje świadomość, że oprócz bankructw finansowych i moralnych, o których wiele mówiono i pisano, stoimy wobec niemal nieuniknionego bankructwa politycznego zarówno w stosunku do państwa, jak i w stosunkach wewnętrznych kraju. Ta świadomość zaczyna już przenikać warstwy, do myślenia poważnego o sprawach publicznych nieprzyzwyczajone. Już nietylko ludzie, zajmujący się polityką, ale cała masa t. zw. inteligencyi i półinteligencyi bankructwo to przewiduje i nie widzi sposobu zapobieżenia mu skutecznego. Cała ta masa

inteligencyi zapada w stan bezwładności chorobliwej, prostracyi beznadziejnej. Nawet łyki lwowskie biadają, że »niema sposobu« i wyrażają życzenie »bodajby przyszli Moskale albo socyaliści urządzili rewolucyę i zrobili porządek«, bo wszystko się »pokiełbasiło«. Względne powodzenie kandydatury p. Daszyńskiego we Lwowie jest znamiennym objawem panującego w społeczeństwie nastroju, powszechnej bezradności. I rzekome moskalofilstwo, jak już dawniej wyjaśnialiśmy, jest właśnie skutkiem tej bezradności, objawem chęci wyjścia za jaką bądź cenę z nieznośnego, dławiącego jak zmora, położenia.

Pożądanie chociażby katastrofy — byle zmiany niemożliwych do życia normalnego warunków jest psychologicznie zupełnie zrozumiałem. To instynkt zachowawczy tak się wyraża, taką potworną formę przybiera, nie znajdując we wskazaniach »rozumu praktycznego« żadnej rady, do której mógłby się zastosować.

Lawirowanie Koła polskiego w Wiedniu, przechodzące nieraz w bezmyślne miotanie się, jest również w pewnej mierze wynikiem poczucia bezradności i bezsilności sfer, posiadających dotychczas przewodnictwo polityczne. Ci galicyjscy mężowie stanu jeżeli nie przewidywali, to przeczuwali bankructwo swej polityki i chcieli się od niego ratować, ale nie mieli i nie mają po temu ani rozumu, ani siły woli. Próbowali wyrwać się z sieci, która ich coraz bardziej oplatała, ale wyrozumowany i nałogowy wstręt do stanowczych decyzyj cofał ich z połowy drogi i zniewalał do ustępstw poniżających, które przyspieszają tylko chwilę ostatecznej likwidacyi polityki dotychczasowej.

Do niedawna Koło polskie miało znaczny wpływ na sfery rządowe i zajmowało poważne, rozstrzygające stanowisko w Radzie państwa. Dziś wpływ ten i to stanowisko utraciło, i nie dla tego tylko, że ostatecznie można je zawsze *für jede Majorität zu haben*, na rozkaz, ba na jedno skinienie z góry, ale dla tego głównie, że w polityce państwowej samo nie wie, czego chce i dokąd dążyć zamierza. W ostatnich czasach Koło polskie zrywało się nawet do opozycyi, ale cofało się zawsze przed jej konsekwencyami. I zgodzić się można z tymi krytykami którzy dowodzili, że opozycya jest niedorzecznością, skoro Koło nie ma w polityce żadnego określonego celu, nie formułuje wcale wyraźnych żądań. Czesi nietylko wiedzą, ale jasno mówią, czego chcą, po co jednak politycy z Koła polskiego utrudniali funkcyonowanie Rady państwa, obalali gabinety, kłócili się ze stronnictwami niemieckiemi, narażali się na obelgi, wzbudzali ku sobie niechęć i nieufność w sferach najwyższych, osłabiali potęgę państwa, którego interesom podporządkowują interesy narodowe — na to pytanie oni sami nie umieliby dać dokładnej i rozsądnej odpowiedzi. Bo nie chodziło im przecie ani o przekształcenie

ustroju państwa w duchu federalistycznym, ani o zmianę zasadniczą konstytucyi w duchu autonomii krajów, ani specyalnie o rozszerzenie autonomii Galicyi. Takich postulatów nie wygłaszali nigdy ani w przemówieniach parlamentarnych, ani nawet w artykułach dzienników, broniących polityki Koła polskiego. Przeciwnie, zaznaczano nieraz dosyć wyraźnie, że Koło polskie nie życzy sobie żadnej zmiany radykalnej, co najwyżej pragnęłoby pewnych drobnych ustępstw i modyfikacyj.

To dziwne i po prostu niedorzeczne postępowanie w ten tylko sposób wytłómaczyć można, że Koło polskie chciało w jakiś sposób rehabilitować się wobec opinii publicznej w kraju, coraz bardziej niezadowolonej z dotychczasowej polityki swoich przedstawicieli. Ta opinia publiczna nie wyrażała jakichś określonych żądań, nie umiała sformułować jasnych wskazań praktycznych, była niezadowoloną, ale nie uświadamiała sobie należycie przyczyn tego niezadowolenia. Gdyby w Kole znalazło się chociaż kilku bystrych polityków i prawdziwych mężów stanu, potrafiliby oni sami jakiś program stworzyć, któryby opinia publiczna przyjęła. Niestety, rej tam wodzą mętne umysły i marne charaktery, więc polityka Koła zakończyła się wstrętną i sromotną kapitulacyą, której uwieńczeniem była nikczemna mowa p. Jaworskiego w delegacyach, sławiąca »błogosławione dni berlińskie«, utrwalające przyjaźń pomiędzy Austryą i Ntemcami.

W samem Kole była wprawdzie opozycya przeciw jego polityce, ale ta opozycya na nic innego zdobyć się nie umiała, jak na doradzanie ukorzenia się przed Niemcami i lojalne przestrogi, żeby nie obrażać korony. Polityka p. Rutowskiego i jego przyjaciół o tyle była mądrzejszą, o ile wcześniejsza kapitulacya oszczędziła by przykrości i upokorzeń. W istocie swej była ona jednak również nędzną, jak polityka większości Koła.

Stronnictwa, stojące po za Kołem polskiem, nie miały żadnego programu, określającego stosunek naszej polityki narodowej do państwa. Dla nich stosunek ten redukuje się niemal całkowicie do skarg na nadużycia różnych władz krajowych i wnoszenia interpelacyi w różnych drobnych sprawach.

Polityka stronnictw rządzących nietylko nie umiała wyzyskać stanowiska, jakie Polacy zajęli w państwie siłą okoliczności a poniekąd dzięki rozumowi politycznemu poprzedników dzisiejszych przedstawicieli Galicyi, ale to stanowisko osłabiła.

W ciągu 10 ostatnich lat kraj właściwie nic nie zyskał, przeciwnie, interesy jego wciąż były i są lekceważone.

Rzekomi utylitaryści nie umieli nawet sprzedać swej lojalności, ani za zaniechanie opozycyi choć cokolwiek wytargować, bodajby taką

drobnostkę, jak upaństwowienie gimnazyum w Cieszynie, co mogłoby ich w pewnej mierze rehabilitować wobec opinii publicznej. Systematyczne lekceważenie przez rząd wszelkich żądań kraju, nawet przez Koło polskie uznanych za uzasadnione i ważne, jest faktem zbyt dobrze znanym i szczegółowo nad nim rozwodzić się nie ma potrzeby.

Należy natomiast zaznaczyć, że po 30 latach jeżeli nie »polskich rządów«, to wpływów polskich na rządy w Austryi, zarysowuje się niebezpieczeństwo utraty lub przynajmniej uszczuplenia tych praw narodowych, które Galicya posiada. Niemcy coraz wyraźniej zaznaczają, że po uporaniu się z Czechami zabiorą się do Galicyi. Jeden z przedstawicieli niemieckich odezwał się niedawno, że ustawa językowa dla Galicyi musi być zniesioną lub raczej zmienioną. Takich pogróżek chociażby ze strony warchołów niemieckich w Austryi lekceważyć nie można, niedawne bowiem doświadczenie poucza, że w tem państwie rządzi właściwie ten, kto najgłośniej krzyczy i najbezwzględniej postępuje. »Błogosławione dni berlińskie« są bądź co bądź nowem stwierdzeniem wzrastającej przewagi żywiołu niemieckiego w Austryi, a więc zapowiedzią niebezpieczeństwa dla praw innych narodowości. A tego niebezpieczeństwa nie zażegnają ani akty skruchy za grzechy, przeciw lojalizmowi popełnione, ani uniżone mowy starych szalbierzy parlamentarnych i giełdowych, kierujących dziś nawą polityki galicyjskiej.

Bankructwo w polityce wewnętrznej, krajowej, jest jeszcze wyraźniejszem, powszechne z niej niezadowolenie jeszcze ostrzejszem. Koła, kierujące tę polityką, nie umieją a raczej nie mogą utaić faktu, że ich stanowisko poważnie jest zagrożonem, że ich działalność dotychczasowa wydała dla kraju i dla nich samych zgubne skutki. Szereg katastrof finansowych i moralnych ujawnił nietylko zmarnowanie milionów dorobku narodowego i cały szereg zasadniczych wadliwości w życiu ekonomicznem kraju, ale zarazem wykazał, że ludzie, zajmujący wybitne i najwybitniejsze stanowiska w społeczeństwie, dopuszczali się *systematycznie* nadużyć a nawet zbrodni. Bo te katastrofy, bankructwa, złodziejstwa i oszustwa, które niemal dzień każdy wykrywa, nie są wynikiem korupcyi pojedyńczych osób ale wynikiem systemu, od wielu lat i dotychczas panującego w życiu publicznem. Dla tego nie sanacya moralna, do której nawołuje p. Tarnowski, ale sanacya stosunków politycznych i ekonomicznych jest przedewszystkiem potrzebną.

Cały niemal kredyt Galicyi, wszystkie jej instytucye finansowe i ekonomiczne, z których liczby i rozwoju niedawno się jeszcze chełpiono, opierają się na fałszywej podstawie. Kredyt na cele wytwórcze jest drogi i bardzo trudny, niezorganizowany należycie. Natomiast rozwinął się bujnie kredyt spożywczy i mamy w Galicyi fakt, na który

zwracaliśmy już uwagę, że pewna część mieszkańców kraju kosztem ograniczenia potrzeba i wogóle skali życia oszczędza miliony na to, żeby je inni trwonili nieprodukcyjnie lub — w najlepszym razie — szafowali nimi nieopatrznie na przedsięwzięcia lekkomyślne. Taki stan rzeczy skończyć się musi kiedyś wielkim krachem, tymbardziej że w innych dziedzinach gospodarstwa społecznego stosunki wciąż się pogorszają.

Własność większa, zwłaszcza średnia, upada, stwierdzają to jej przedstawiciele. Utrzymują się tylko i nawet rosną *latifundia*, ale majątki mniejsze zmieniają wciąż właścicieli, przechodzą w ręce Żydów i wszelkiego rodzaju spekulantów, idą na parcelacyę. Nazywają dziś jeszcze czasem Galicyę »krajem szlachciców«, tymczasem została w niej zaledwie garstka szlachty w znaczeniu żywiołu ziemiańskiego, osiadłego na roli z dziada pradziada, związanego z ludnością miejscową stosunkiem tradycyjnym, zdolnego do pracy obywatelskiej w samorządzie powiatowym.

Kilkaset majątków znajduje się w ręku Żydów, przeważnie niewykształconych, prowadzących gospodarstwo rabunkowe. We wschodniej części kraju oni trzymają również ogromną część dzierżaw.

Zaznaczamy z naciskiem ten stan opłakany własności większej, bo przecie jej utrzymanie, jej rozwój leżały najbardziej na sercu sferom, rządzącym w kraju, stanowiły i stanowią własny ich interes.

Zbytecznem byłoby powtarzanie znanych wszystkich utyskiwań z powodu braku przemysłu, rozdrobnienia własności chłopskiej, kramarskiego charakteru handlu, wzrastającej przewagi żydowstwa, nędzy proletaryatu wiejskiego i miejskiego, i t. d. Niewątpliwie różne na ten stan rzeczy złożyły się przyczyny, ale i to wątpliwości nie ulega, że nieudolna polityka społeczna i ekonomiczna, a raczej brak wszelkiej planowej, rozumnej akcyi w tej dziedzinie stosunków wytworzył osławioną nędzę galicyjską. Nie wolno zwalać winy na warunki, od nas niezależne, skoro prawie niczego nie zrobiono dla odwrócenia szkodliwego ich działania. Zapewne i położenie kraju nie jest korzystnem, i jego dzisiejszy a zwłaszcza dawniejszy stosunek do innych prowincyi państwa utrudniał rozwój ekonomiczny. Ale i ci, którzy polityką kraju kierowali i rządy w nim sprawowali, nic dla podniesienia jego sami nie zrobili, nie mówiąc już o tem, że nie wyzyskiwali w tym celu wpływu swego na władze centralne w państwie.

Nie będziemy przytaczali faktów; dla scharakteryzowania bezczynności w tej dziedzinie wystarczy zaznaczenie, że jakkolwiek własność włościańska jest niesłychanie rozdrobniona, bo liczba gospodarstw wynosi więcej niż 150% liczby rodzin, pracujących na roli, a ilość oddzielnych

parcel kilka razy więcej, nic nie zrobiono dla zaradzenia tym okropnym stosunkom. Nie ma ustaw i zarządzeń, ułatwiających komasacyę gruntów, parcelacyi zaś przeciwdziałano raczej, niż dopomagano. A były przecie nawet gotowe wzory polityki agrarnej, chociażby w Niemczech, których urządzenia ustawodawcy austryaccy chętnie i bezmyślnie naśladują.

Emigracya ludu przybiera coraz większe rozmiary, zwłaszcza wzrasta co raz bardziej wychodztwo zarobkowe. Sfery rządzące przeciwdziałają emigracyi środkami policyjnymi w celu zapewnienia własności większej taniego robotnika. Wychodztwo zarobkowe i stałe jest klapą bezpieczeństwa, zamknięcie jej lub w ogóle jakiekolwiek utrudnienie jej wywołać może skutki, których galicyjscy mężowie stanu nie przewidują. Rozpowszechniające się w ostatnich czasach strejki robotników rolnych doprowadzić mogą do buntów masowych, jak to było we Włoszech. Prawdopodobnem jest również takie wzmożenie się emigracyi, że zamieni się ona w tłumny *exodus*, jak w Irlandyi w połowie bieżącego wieku, i wyludni kraj.

Na tle nędzy ludu, powszechnej biedy i zastoju ekonomicznego ujawnia się coraz ostrzej niezadowolenie polityczne. Obejmuje ono wszystkie warstwy i grupy ludności, nie wyłączając tych, które mają monopol rządzenia krajem. Z tego, co się powierzchownie widzi, co się mówi i pisze, nie można mieć należytego pojęcia o powszechnem zniechęceniu o chorobliwem na pozór a jednak w gruncie rzeczy zupełnie naturalnem pożądaniu jakiejś zmiany bodajby na gorsze, jakiejś katastrofy, któraby społeczeństwem wstrząsnęła i wyrwała je z obezwładniającego wszelką działalność publiczną marazmu.

Wzrost szybki radykalizmu politycznego, który przeraża sfery rządzące i wogóle konserwatystów a nawet umiarkowanych demokratów, jest objawem wielce znamiennym. Ten radykalizm ma niewątpliwie cechy »rozstroju«, co zresztą nie powinno budzić obaw, bo każdą ewolucyę poprzedzać musi okres dysolucyi — rozkładu form i pojęć dotychczas panujących. Nie mylą się również zachowawcy, twierdząc, że ten radykalizm jest ruchem społecznym żywiołowym, że nie ma żadnego określonego programu, żadnych dążeń, wyraźnie i dokładnie sformułowanych, że jest niemal wyłącznie negacyą tego, co istnieje. Tak jest rzeczywiście. Radykalizm galicyjski jest wyrazem powszechnej niechęci a nawet nienawiści do istniejącego stanu rzeczy, na wpół zaledwie świadomem poczuciem, że dłużej tak być nie może i że jakaś zmiana jest konieczną. Ale jaka? Na to pytanie nie ma odpowiedzi ścisłej i jasnej. Podczas ostatnich wyborów do Rady państwa konserwatywny »Związek

chłopski« rzucił hasło, które streszcza właściwie cały program tymczasowy radykalizmu galicyjskiego »bij stańczyka«.

Ani stronnictwa ludowe, ani radykalna inteligencya nie mają programu reformy politycznej i społecznej, odpowiadającego grozie położenia i potrzebom kraju. Ruch ludowy i wogóle ruch radykalny przygotowuje tylko grunt do takiej reformy, wytwarza dla niej materyał, ale nie ma sformułowanej i uświadomionej myśli politycznej, którąby całokształt stosunków krajowych i narodowych obejmowała.

Tak — nie mylą się sfery rządzące, dowodząc, że radykalizm galicyjski nie ma ani programu reform, ani wyrobienia politycznego, że jest tylko wyrazem niezadowolenia z istniejących stosunków, niezadowolenia żywiołowego, instynktownego, wyładowującego się na oślep bez planu. Ale to właśnie jest najcięższem oskarżeniem polityki dotychczasowej. Jakto? Od trzydziestu kilku lat kraj korzysta w dosyć szerokiej mierze ze swobód politycznych, z możności wszechstronnego działania w dziedzinie spraw publicznych i ci, którzy bez kontroli nim rządzą, którzy w nim panują nie zdołali choć trochę wykształcić i wyrobić politycznie ludności miejskiej i wiejskiej, ani nawet inteligencyi, ze szczególną troskliwością uczonej i tresowanej? Nie jest bynajmniej paradoksem zdanie Odillon Barrota, że każdy rząd ma taką opozycyę, na jaką zasługuje. Jeżeii żywioły opozycyjne ludowe są w społeczeństwie galicyjskiem niedojrzałe politycznie, to wina spada na tych, którzy rządzą i panują.

Nietylko zresztą na konserwatystów ale i na liberałów i demokratów. Od trzydziestu lat politycy galicyjscy kłócili się i walczyli zawzięcie o fikcye, o frazesy, budowali lub obalali doktryny a zaniedbywali zupełnie uświadomienia polityczne mieszczaństwa i ludu wiejskiego. Nietylko w zaborze pruskim ale nawet w zaborze rosyjskim więcej pod tym względem zrobiono. Ci rzekomo realni politycy nie posiadali wcale zmysłu dla najważniejszych rzeczy realnych. A mieli przecie w ręku wszystkie środki kształcenia politycznego ludu: władzę ustawodawczą, szkołę, samorząd powiatowy i miejski. Ten ostatni zwłaszcza, tak ważny w sprawie, o której mówimy, nie był wcale wyzyskiwany, jako środek wychowawczy i przybrał wszystkie cechy formalizmu urzędniczego i wyłączności szlacheckiej. I oto widzimy taki fakt dziwny i smutny, że coraz głośniej rozbrzmiewa hasło zniesienia samorządu powiatowego i to hasło bezmyślne, szkodliwe dla rozwoju samodzielności politycznej i społecznej ludu, znajduje wśród niego zwolenników. W każdym innym kraju, nie wyłączając nawet Rosyi, wygłoszenie takiego postulatu i popieranie go w imieniu ludu byłoby niemożliwem.

Stronnictwa rządzące nie troszczyły się wcale o uświadomienie polityczne warstw ludowych, o zaprawianie ich stopniowe do życia publicznego. Nawet w sprawie rozbudzania świadomości narodowej zadawalniano się frazesem lub komedyą uroczystych »szopek«. I dziś, gdy świta już w tych sferach przekonanie, że coś robić trzeba dla zyskania wpływu na masy, przeciwstawia się np. frazesowi socyalistycznemu — frazes patryotyczny lub klerykalny.

Bankructwo dotychczasowej polityki galicyjskiej zarówno w zakresie stosunku kraju do państwa, jak i w zakresie wewnętrznych stosunków krajowych, jest skutkiem lekceważenia dwóch kardynalnych zasad naszego programu narodowego, dwóch dążeń naczelnych naszego życia — wzmacniania odrębności narodowej i wyrabiania samodzielności politycznej warstw ludowych. Reforma radykalna stosunków galicyjskich zacząć się powinna przedewszystkiem od uznania tych zasad.

W przekładzie na język stosunków istniejących pierwsza zasada oznacza rozszerzenie autonomii kraju, t. j. możliwe wyodrębnienie Galicyi pod względem ustawodawczym, administracyjnym, finansowym, co w znacznej mierze zależy od zmiany radykalnej w ustroju państwa w duchu federalistycznym.

Ale autonomia narodowa jest nieodłączną od zmiany gruntownej ustroju politycznego kraju. Nie chodzi tu tylko o rozszerzenienie swobód politycznych i reformę wyborów do sejmu w duchu demokratycznym ale przedewszystkiem o wzmocnienie i rozszerzenie, a raczej o wytworzenie prawdziwego samorządu miejscowego. Podstawą samorządu i szkołą życia publicznego musi być gmina. Reforma gminna powinna poprzedzić wszelką reformą polityczną i społeczną. Ale ta reforma polega nie na przekształceniu gminy w jednostkę administracyjną, lecz na rozszerzeniu jej kompetencyi społeczno-gospodarczej.

Tę samą rolę ale w szerszym zakresie spełnia samorząd powiatowy. Dziś on jest w znacznej mierze fikcyjnym a pomimo to lub właśnie może dla tego zbyt biurokratycznym. Wydział krajowy, który w normalnej organizacyi samorządu powinien być tylko władzą kontrolującą i ograniczać działalność swoją sprawami, wspólnemi dla kilku powiatów lub kraju całego, rozszerza coraz bardziej w Galicyi zakres swej kompetencyi, przekształcił się w ogromną machinę biurokratyczną, zatrudniającą setki urzędników i centralizującą wszystkie niemal czynności samorządu miejscowego.

Galicyjski »rozum stanu« wpadł na koncept, że ponieważ zakres działania władz rządowej i krajowej jest w wielu sprawach wspólny, więc zamiast dwóch władz lepiej mieć jedną — rządowo-krajową. Za-

pewne istnienie dwóch organizacyi zcentralizowanych, biurokratycznych jest zbytecznem. Właściwie jednak zakres działania samorządu obywatelskiego jest zupełnie inny, niż zakres działania władz adminstracyjnych. Jeżeli w Galicyi tego odgraniczenia niema, to należy je przeprowadzić nie zaś łączyć funkcye odmienne w jednolitym mechanizmie biurokratycznym.

Od takiej reformy zacząć by należało uzdrawianie stosunków galicyjskich, likwidowanie polityki galicyjskiej zawczasu, zanim podwójne jej bankructwo zostanie jawnie i formalnie stwierdzonem.

STOSUNKI KOŚCIELNE NA LITWIE

(Listy otwarte księdza do księży)

Mamy w życiu naszem religijno-społecznem dużo palących kwestyj, względem których ogół naszego duchowieństwa i inteligencyi świeckiej zachowuje się z bezmyślną obojętnością. Takie zjawisko wśród duchowieństwa tłumaczę nizkim jego poziomem umysłowym. Przeciętny ksiądz u nas, to rzemieślnik do wykonywania li tylko formalistycznych, obrzędowych przepisów kościoła. Bieżące sprawy dyecezyalne, działalność zwierzchności — mało go obchodzą, o ile nie dotyczą jego własnej osoby. Tłumaczy się też ta bezmyślność wychowaniem seminaryjnem. Klerykom wpajają zasadę, zwaną w języku ascetycznym »pokorą umysłu i pokorą serca». Według tego karygodną zarozumiałością, grzesznem mędrkowaniem jest poddawanie dyskusyi działalności... wyższego duchowieństwa, a szczególniej głowy dyecezyalnej. Brak szerszego wykształcenia łącznie z zasadą, zabraniającą mędrkowania i nadmiernego rozumowania, skazały księży na rolę pokornych owiec, nie mających nawet prawa pytać, dokąd je pasterz pędzi. Jedni więc na sąd zdobyć się nie umieją, drudzy z powodu skrupułów sumienia nie śmią.

Są jednak tacy, którzy poddają roztrząsaniu bieżące sprawy dyecezyalne, ale tylko w myśli, gdyż nie mają cywilnej odwagi wypowiedzieć głośno swych przekonań, z obawy popsucia sobie karyery; inni nawet pochwalają wszystko, co się dzieje, wbrew przekonaniu, przez pochlebstwo i płaszczenie się przed zwierzchnikiem.

W rezultacie więc mamy brak kryteryum do mierzenia rzeczy i ludzi, lub, co jeszcze gorsza, płaszczenie się i obłudę. Przeciw bezmyślności, obłudzie, tchórzostwu i ciemnocie powstaję w tej pracy.

Wyznaję zasadę, że każdy ksiądz powinien być nietylko księdzem, lecz i obywatelem swej ziemi rodzinnej, nie tylko kapłanem, lecz i pa-

tryotą. Praca ta więc będzie ostrzeżeniem przeciwko dążnościom rządu do rusyfikacyi kraju za pomocą skosmopolityzowania a nawet rusyfikowania księży.

Wiem, że to się nie podoba nietylko świeckiej, ale i duchownej władzy. Chodzi mi jednak przedewszystkiem o was, czytelnicy. Jedni z was z oburzeniem odrzucą od siebie, te listy, bo z zasady nie czytają rzeczy nie zaopatrzonych w stempel kościelny lub rządowy. Inni przeczytają ale nie bez skrupułów i nazwą mnie zapaleńcem, pozbawionym wytrawnego sądu. Jeszcze inni przeczytają i powiedzą o mnie: »ten, co pisał, jest więcej patryotą, niż księdzem». Będą i tacy, co prawie we wszystkiem zgodzą się ze mną, zarzucą tylko ton zbyt ostry, rażący, sposób pisania zbyt namiętny i gwałtowny.

Nie uważam się za nieomylnego, droga do polemiki otwarta, szczerem wypowiedzeniem się daję możność wyprowadzenia mnie z błędu.

Nikt jednak nie posądzi mnie o pobudki nizkie, jak prywata lub zemsta. Pisałem rzecz tę najbezinteresowniej. Za całą pociechę i nagrodę służy mi poczucie spełnionego obowiązku, za jaki uważam szczere wypowiadanie swych przekonań, jednanie dla nich zwolenników, służenie kościołowi i społeczeństwu w sposób, jaki wydaje mi się najskuteczniejszym i najwłaściwszym. Może się mylę, ale jestem w dobrej wierze i idę za głosem sumienia.

Nie kierowała mną próżność, bom nawet ani na chwilę nie przypuszczał, że mam szczególne zdolności autorskie. Czuję potrzebę wypowiedzenia tego, co mi cięży na sercu, mówię poprostu, jak umiem; rzucam myśli, które mi do głowy przychodzą. Może się znajdzie pióro zdolniejsze, które je lepiej rozwinie i w formę piękniejszą przyoblecze.

I.

POLITYKA BISKUPA ZWIEROWICZA WOBEC RZĄDU.

Uczta Murawiewowska. — „Zdrawia żełajem Wasze prewoschoditielstwo“. — Szczere lub udane faworyzowanie księdza - rządowca. — Owoce polityki biskupiej.

Najdonioślejszym dotychczas czynem biskupa wileńskiego była obecność na uczcie Murawiewowskiej. Część inteligencyi tak duchownej jak i świeckiej przyjęła krok ten obojętnie, część — z oburzeniem; nie brakło i takich, którzy przyklasnęli temu postępkowi, uważając go za szczyt dyplomacyi. Serce jednak każdego prawdziwego Polaka ścisnęło się na wiadomość o tem. Samo już stawianie pomnika dla kata, kiedy jeszcze krew jego ofiar nie zastygła, jest okrutnem znęcaniem się nad narodem ujarzmionym, jest deptaniem po sercach naszych. Samo już zaproszenie biskupa na ucztę pomnikową było ironią i bolesnem lekceważeniem książęcia kościoła, tem bardziej obecność pasterza na-

szego na uczcie, mającej na celu wyraz czci dla tego, który z bezwzględnem okrucieństwem tępił wszystko, co polskie i katolickie, i który po dziś dzień stawianym jest przez rząd za wzór dla wszystkich satrapów wileńskich. Wiem ze źródeł wiarogodnych, że światlejsi i uczciwsi Rosyanie zdziwili się ogromnie, ujrzawszy w sali biesiadnej biskupa katolickiego.

Rozważmy argumentacyę obrońców tego «wysoce dyplomatycznego« kroku.

W przeddzień odsłonięcia pomnika biskup złożył wizytę przybyłemu z Petersburga ministrowi spraw wewnętrznych, Goremykinowi, przy pożegnaniu minister wyraził się: »jutro się zobaczymy«. Wobec tych słów biskup nie mógł nie przyjąć zaprosin. To jeden argument na obronę biskupa. Pozwolę tu sobie zapytać, czy słowo i życzenie ministra rosyjskiego jest zasadą postępowania dla biskupa katolickiego, czy biskup nasz ma być pionkiem, posuwanym ręką ministra, czy już nie ma zasad i racyj wyższych i przeciwnych woli kacyków moskiewskich?

Na karcie zapraszającej na ucztę było napisano: «w czest' ministrow», a nie na cześć pamięci Murawiewa. To drugi argument. Toasty i mowy wyraźnie chyba wskazały biskupowi: czy na cześć ministrów, czy na cześć Murawiewa trącał się kieliszkiem z Goremykinem, »jeden z pierwszych« jak pisało *Nowoje Wremia*. Jeżeli jednak w karcie zapraszającej nie było wzmianki o Murawiewie, to tylko dowodzi: 1° że nawet miedzianym łbom służalców rosyjskich zabrakło bezczelności wywiesić na uczcie szyld Murawiewowski, 2° sami służalcy byli przekonani, iż biskup katolicki nie mógłby figurować na obiedzie, wydanym na cześć Murawiewa, 3° że był to manewr dyplomatyczny, obrachowany na naiwność Ekscelencyi, dla łatwiejszego wciągnięcia go do tryumfów moskiewskich.

Biskup przecież nie złamał prawa kanonicznego, obecność na uczcie, to nie udział w poświęceniu pomnika, to nie jest *communicatio in sacris*. W tym obrończym argumencie czuć ten kosmopolityzm naszych księży, który graniczy z patryotyzmem rosyjskim. Pachnie to *razpolaczenijem katolicizma*, które stanowi bodaj najpierwszy punkt programu rosyjskiego w tak zwanym »północno zachodnim kraju«. Jeżeli takie ucztowanie nie sprzeciwia się prawu kanonicznemu, to sprzeciwia się duchowi chrześcijańskiemu, który każe pasterzowi dzielić los swej owczarni. Ucztować na orgii zwycięzkiej wówczas, gdy naród podeptany w grobowem milczeniu zamknął się ze łzami w swych domach, to, zaiste, czyn niegodny pasterza katolickiego, który »duszę swą powinien położyć za owce swoje».

Posłuchajmy teraz głosu uczciwszej części prasy rosyjskiej.

Kiedy gadzinowa prasa rosyjska — *Swiet*, *Moskowskija Wiedomosti*, w swej bezgranicznej bezczelności dziwiła się i oburzała, że Polacy nie biorą udziału w uroczystościach Murawiewowskiej *Peterburskija Wiedomosti* dnia 8/20 Grudnia 1898 r. zamieściły artykuł, z którego tu przytoczę urywki: «Objaśnić sobie ten chłód Polaków względem obchodu Murawiewowskiego łatwo może każdy Rosyanin, o ile w rozjątrzeniu swojem przeciwko wszystkiemu, co polskie, nie doszedł do ostatecznego krańca. Zdawałoby się, że dostatecznem jest oparcie się na najwyższem poczuciu ludzkości, mimowoli zamykającem usta, gdyby chciał z nich wyrwać się nierozważny zarzut przeciwko Polakom za suche zachowanie się wobec działacza rosyjskiego, który swoim twardym i surowym sposobem działania, zadał ostatni cios polskiemu ruchowi powstańczemu... Czyż narodowej miłości własnej dopiero wtedy stanie się zadość, gdy starty przez nas w proch przeciwnik nietylko poczuje się związanym od stóp do głowy, nietylko uzna się za pozbawionego na zawsze możności jakiejbądź walki, ale zacznie jeszcze śpiewać hymny pochwalne dla swoich zwycięzców?»

»Co to jest? Powrót do tych dawno minionych czasów, gdy zwycięzcy przymuszali zwyciężonego i rozbrojonego nieprzyjaciela do przejścia »pod jarzmo», chełpliwie wołając *Vae victis*.

«A gdybyśmy nawet doczekali się kiedy hymnów pochwalnych, zachodzi pytanie, czybyśmy uwierzyli w ich szczerość? Oczywiście, nie. A więc na cóż nam owe kłamliwe zapały? Chyba tylko na to, abyśmy zyskali nową okazyę do pochełpienia się wobec Polaka i, wytykając go palcem, z wyrzutem szydzić zeń mogli: »Patrzcie, jaki Polak jest obłudny! Widzicie jak nizko on zeszedł. Murawiewowi dytyramby śpiewał! Ach, panowie Polacy, kiedy wreszcie przestaniecie oszukiwać nas?»

Tak pisze cokolwiek uczciwszy od *Moskiewskich Wiedomosti Swieta i Wileńskaho Wiestnika* organ rosyjski. Jak widzimy, z artykułu wieje pogarda dla tych Polaków, co przyłączają się obłudnie do chóru, śpiewającego hymny na cześć Murawiewa. Jeśli tak sądzi pismo, potępiające tylko barbarzyńskie środki *obrusienija* a nie sam cel, to cóż myśli Rosya uczciwa. która na równi z nami ma zakneblowane usta i nie może zabrać głosu w naszej sprawie.

W obronie postępku ks. Zwierowicza posiłkują się też twierdzeniem, że biskup w działalności swej byłby jeszcze bardziej niż teraz skrępowanym, gdyby nie przyjął zaprosin. Taki argument może wylęgnąć się w głowie tych, co namalują strach na ścianie i sami się go lękają. Z nimi trudno dysputować. *Quod gratis asseritur, gratis reicitur*, mógłbym im powiedzieć. Przytoczenie takiej racyi, że biskup nie

może uczestniczyć na uczcie, odbywającej się w kościele niegdyś katolickim, przerobionym obecnie na dom zabawy i hulanki (dla Moskali) — wystarczyłoby nawet satrapie wileńskiemu, tembardziej, że biskup już złożył wizytę ministrowi Goremykinowi i do niczego nie był więcej w danym wypadku zobowiązany względem przedstawicieli władzy. Zresztą niktby się nie zdziwił, gdyby biskupa katolickiago nie było, i niktby nie był pytał o powody jego nieobecności.

Nikt z nas nie wątpi, że nie cześć dla Murawiewa zaprowadziła Jego Ekscelencyę na ten obchod, (chociaż dobry humor w czasie uczty i rozpromienione oblicze, jak gdyby za tem przemawiały). Przyczyny szukać należy w tchórzostwie lub dyplomacyi, a właściwie i w jednem i w drugiem.

Tchórzostwo nie usprawiedliwia ludzi, postawionych na czele społeczeństwa. Czy wódz umyka z pola walki przez tchórzostwo, czy przez zdradę, to na jedno w skutku wychodzi, ułatwia zwycięztwo wrogom i ściąga hańbę na siebie. Lecz jeśli to dyplomacya, to bardzo smutna dyplomacya, której rezultatem jest uśmiech politowania u *czynownika*, pogarda u szlachetnych Rosyan, oburzenie i żal wśród mieszczaństwa, a zły przykład dla nas wszystkich.

Podobno biskup gorżko żałował swego nierozważnego kroku. Smutek ten jednak i żal został złagodzony i osłodzony niebawem. Nasza arystokracya i plutokracya pospieszyły z wyrazem uznania dla mądrej polityki, niezrozumianej i potępianej przez rozczochraną demokracyę. Przyklaśnięcie za udział w uczcie haniebnej pośród zgrai najezdzców, rozpierających się i weselących w złupionym kraju, kosztem potu, krwi i łez jego mieszkańców, na cześć jednego z największych potworów ludzkości — to czyn godny duchowych spadkobierców Targowicy.

Gdyby taki postępek, jak udział w uczcie Murawiewowskiej, był jedynym w życiu biskupa, możnaby było go uważać za chwilowy nietakt, pomyłkę — *errare humanum est* — lecz jeśli analogicznych czynów znajdujemy więcej, to wówczas zmuszeni jesteśmy przyjść do przekonania, że są one wynikiem nie pomyłki, lecz programu, przekonań, lub wogóle braku wszelkiego programu, wszelkich przekonań.

W czasie egzaminów klerycy seminaryum wileńskiego powitali wchodzącego gubernatora okrzykiem: *Zdrawia żełajem wasze prewoschoditielstwo!* Taki sołdacko moskiewski okrzyk rozległ się po raz pierwszy w murach seminaryalnych w r. 1897. Biedni klerycy nie mogli po prostu wykrztusić tych wyrazów. Śmielsi zapowiadali milczenie, oponowali przeciwko takiemu rozporządzeniu rektora ks. Bajki. Kierownik seminaryum stłumił szlachetną opozycyę młodych lewitów słowy: »Kto nie chce słuchać, ten będzie wypędzony z seminaryum». Tenże

sam ksiądz Bajko często powtarza klerykom: »Kto nie będzie starannie uczył się rosyjskich przedmiotów (historyi i literatury rosyjskiej) zostanie wydalony z seminaryum.» Dawniej wszystkie, przez rząd narzucone, obowiązki zwierzchność seminaryjna przedstawiała jako *malum necessarium*, dzisiejsza zwierzchność w tychże kwestyach przemawia w sposób godny, przedstawicieli idei Murawiewowskiej. Ks. Bajko jest faworytem biskupa Zwierowicza, przez niego posunięty na godność rektora seminaryum, na kanonika i prałata — w przeciągu paru lat przeszedł tyle stopni w hierarchii kościelnej. Jeszcze jeden stopień a zasiędzie na katedrze biskupiej wileńskiej, mogącej zawakować przez powołanie ks. Zwierowicza na arcybiskupstwo mohylewskie, opróżnione przez śmierć ks. Kozłowskiego. I ks. Bajko i ks. Zwierowicz do takiego awansu mają potrzebne przymioty *błahonadiożnosti* (prawomyślności).

W roku 1898 księża i klerycy należący do orszaku biskupiego byli świadkami szczególniejszych względów, jakimi pasterz obdarzał znanego rządowca, infamisa, dziekana oszmiańskiego Sajkowskiego, podczas kanonicznej wizyty w Oszmianie. W czasie ingresu nakazał kaznodziei ks. Kurczewskiemu chwalić z ambony parafię a więc pośrednio i jej kierownika. W plebanii był uprzedzająco grzeczny dla gospodarza aż do zapomnienia o swej powadze, z którą się nie rozstaje w stosunku do zwykłych, uczciwych księży. Posłuszny wskazówkom księdza-rządowca, złożył wizytę isprawnikowi (naczelnikowi powiatu) oszmiańskiemu, który nawiasem mówiąc, był nie rad z tych względów biskupa katolickiego, mogących mu popsuć reputacyę u wyższych władz administracyjnych. Przy obiedzie ks. Zwierowicz wniósł zdrowie dziekana z odpowiednią przemową, pełną grzecznych i pochlebnych słów. Nic podobnego nie spotykało księży, nie splamionych przez sojusz z rządem. Obecni księża i świeccy z bólem serca na to patrzyli i tak sobie rozumowali. Trzeba być takim Sajkowskim, żeby cieszyć się uznaniem biskupa; toć pasterz nasz nie słowy wprawdzie, lecz swem zachowaniem się stawia nam księdza-rządowca za wzór do naśladowania.

Łotr Sajkowski denuncyował i tym sposobem przez rząd wpakował do klasztoru swego wikarego za to, że ten, szanując prawo kanoniczne, nie zgodził się odprawić żałobnej mszy po śmierci Aleksandra III. Był to fakt świeży. A w przeddzień prawie przyjazdu biskupa usilnie nastawał z ambony, by lud nie spotykał owacyjnie pasterza swego. »Biskup to nie cesarz» — powiedział wówczas Sajkowski.

Jesteśmy skłonni wierzyć, a nawet wierzymy, że tak uprzedzająco grzeczny sposób postępowania biskupa płynął nie z uznania dla łotra-księdza, lecz z tchórzostwa przed *błahonadziożnym* stronnikiem rządu, protegowanym i faworyzowanym przez władzę. Z jakichkolwiek pobu-

dek płynie taka taktyka pasterza, prowadzi ona do jednego rezultatu usuwa dla księży-infamisów hamulec, jakim jest powaga biskupia, prowadzi do stawiania na jednym poziomie łotrów i zacnych księży, bałamuci i obniża wymagania opinii publicznej, podkopuje zaufanie i szacunek dla biskupa.

Trudno bronić biskupa, nawet doprowadziwszy wymagania do *minimum*. Jeśli już lękał się gniewu księdza-rządowca, nie chciał drażnić licha, nie potrzebował starać się o jego względy za pomocą uprzedzającej grzeczności. Należałoby trzymać się zimnej, konwencyonalnej grzeczności. Nie zachwiałby swej powagi i nie zniechęcałby do siebie inteligencyi świeckiej i duchownej.

Taka uniżona uległość rządowi ma służyć interesom kościoła, dać swobodę działania biskupowi? Tyle lat uległości musiało już przynieść owoce dla dobra kościoła. Przyjrzyjmy się im.

Infamisi dziekani i proboszczowie siedzą na wygodnych probostwach i ani włos im z głowy nie spadł. Rosyjscy profesorowie w seminaryum zwiększają wymagania z literatury i historyi rosyjskiej. Domowy areszt z księży nie zdjęty. Procesye poza kościołem nie przywrócone. Zakaz śpiewania przy kondukcie żałobnym nie odwołany. Kościoły zabrane nie zwrócone. *Niebłahonadiożnych* księży na probostwa rząd nie zatwierdza. Nakoniec taka abdykacya biskupa z ideałów patryotycznych nie przeszkodziła generał-gubernatorowi Trockiemu w najpoddańszym memoryale, złożonym u stóp cara, zalecać ściślejszej kontroli przez wprowadzenie do seminaryum agentów rządowych, którzyby mieli współudział w kierownictwie tegoż. Oto są zdobycze polityki posłuszeństwa rządowi we wszystkiem, co się nie odnosi do praw kościoła. Jeśli twierdzicie, że polityka zaprzaństwa narodowego wychodzi na dobro kościoła, pokażcie mi jej owoce. Że biskup cieszy się zaufaniem rządu, że może zostać arcybiskupem mohylewskim — to dobro osobiste jego, ale co na tem zyskał kościół?

II.

POSTAWA DUCHOWIEŃSTWA WZGLĘDEM RZĄDU.

Duch Żylińskiego. — Cztery kategorye księży. — Postawa ludu naszego względem rządu. — Seminaryum wileńskie. — Idea nawracania Rosyi na katolicyzm.

Biskup w swej polityce służalczej nie jest odosobniony. Otoczenie, kapituła niewątpliwie ma wpływ na pasterza, znanego z braku samodzielności i odwagi. Żylińskiego nie ma już na świecie, ale duch jego epoki żyje jeszcze, sprowadzony wprawdzie do rozmiarów mniejszych, ale żyje. Symonii nie ma, prawo kanoniczne uszanowane, ale historyczne i cywilizacyjne prawo narodu podeptane nie mniej, jak za czasów Żylińskiego. Jako katolicy stoimy trochę wyżej, ale jako obywatele

swej ziemi, jako Polacy nie górujemy nad ową epoką zaprzaństwa narodowego. Duchowieństwo starsze wiekiem w ogromnej większości hołdowało Żylińskiemu, ks. Zwierowicz w swoim czasie też bił czołem przed samozwańczym uzurpatorem władzy dyecezyalnej; wiemy niestety coś o tem.

Dochowieństwo nasze ze względu na stosunek do rządu rosyjskiego i jego polityki można podzielić na cztery kategorye.

Do pierwszej zaliczymy infamisów, którzy oparli się na rządzie dla uniknienia kary za życie bezecne. Są to cynicy bez iskierki uczuć religijnych i ludzkich. Wyniesieni w czasach Żylińskiego na dziekanie i pierwszorzędne probostwa, obdzierają lud i żyją w bezwstydzie, pod pod opieką rządu. O nich nie wiele mam do powiedzenia, gdyż są nieliczni i przez ogół katolicki napiętnowani jako łotry i zdrajcy kościoła.

Do drugiej kategoryi należą mniej lub więcej przywiązani do kościoła, ale zupełnie obojętni dla nieszczęśliwej ojczyzny. Odczuwają ucisk religijny, ale nic ich nie obchodzi ucisk narodowy. Są oni nieprzyjaciółmi rządu dzięki li tylko prześladowaniom religijnym, ale niech te ustaną, księża ci będą głosili dobrodziejstwa i wspaniałomyślność rządu. Nieźli może katolicy, ale marni Polacy lub Litwini. »Nasza ojczyzna — Rzym, a nasz patryotyzm to brewiarz«, często powtarzają oni. Dla nich obcą jest historya i literatura polska, a trzymają się języka polskiego dla tego tylko, że związany u nas z katolicyzmem. Z polskich pism prenumerują jedynie *Przegląd katolicki* i *Misyje katolickie*, a i to dla tego, że w języku rosyjskim pism katolickich wcale niema. Swobodę religii katolickiej gotowiby byli okupić wyrzeczeniem się wszystkiego, co polskie, i z łatwością wystąpiliby z kazaniem rosyjskiem, byleby tylko Ojciec święty na to pozwolił. Cytując słowa Chrystusowe: »Oddaj co jest cesarskiego cesarzowi, powtarzając często aforyzm: »wszelka wlada pochodzi od Boga«, akcentują swą katolickość rosyjską[1]). Różnią się od księży pierwszej kategoryi przekonaniami ściśle katolickiemi i życiem nienagannem, podobni są do nich zaprzaństwem. Na ogół stokroć są niebezpieczniejsi od pierwszych. Tamci

[1]) W wyrażaniu przywiązania do tronu, księża prześcigają niekiedy popów prawosławnych. Dziekan lidzki Sienkiewicz przyozdabia bramę kościelną w dnie galowe transparentem, na którym wyobrażony monogram cara i carycy z nadpisem „*Boże cara chrani*“, ks. Kuczewski witał w Ejszyszkach gubernatora wileńskiego mową, w której cara nazwał słońcem, a gubernatora promieniem tego słońca. Obiecał nawet umieścić w kościele marmurową tablicę z datą bytności gubernatora. Do niedawna księża spotykali generał-gubernatorów w szatach kościelnych (komża, kapa), co jest zabronionem przez prawo kanoniczne.

noszą na czole wyraźne piętno rządowców-infamisów, piętno, które ostrzega owieczki przed wilkiem; ci zaś swem przywiązaniem do kościoła i moralniejszem życiem usypiają instynktową czujność owczarni i wiodą ją do celów, przez rząd nakreślonych. Są to *„raspolaczennyje ksiendzy“*, pomagający rządowi w odpolszczaniu katolicyzmu t. j. w rusyfikacyi kraju. Niebezpieczeństwo od nich tem większe, że liczą się nie na jednostki jak pierwsi, lecz na dziesiątki. Obecnie rządy dyecezalne idą w ich myśl.

Do trzeciej kategoryi zaliczę tych, co nie są stronnikami rządu, żywią w swem sercu trochę przywiązania do wszystkiego, co swoje, do pracy jednak narodowo-społecznej ręki nie przyłożą, chociaż w duszy jej błogosławią. Jedni sądzą, że wypełnianie obowiązków kościelnych jest już zarazem wywiązaniem się z narodowych. Drudzy jarzmo rosyjskie uważają za rózgę, którą Bóg chłoszcze za karę swe dzieci, ale gdy się poprawią i za grzechy odpokutują, narzędzie kary połamie. W tej nadziei siedzą z założonemi rękami, zwalając wszystko na Boga. Inni znowu stracili wiarę w możność i skuteczność walki i w niemem milczeniu przyglądają się zalewającej Litwę fali rosyjskiej. Są i tacy, którzy mówią: „to rzecz świecka bronić przed wynarodowieniem, my ograniczamy się pracą li tylko religijno-kościelną.“ Wspólną cechą tej kategoryi jest nierobienie nic dla społeczeństwa i kraju, chociaż życzą mu szczęścia i jaśniejszej przyszłości. Jest to jakiś patryotyzm bierny, bez rumieńca życia, bez programu, bez czynu, raczej instynktowy, niż świadomy. Ta trzecia kategoryja jest najliczniejsza, stanowi ona ogromną większość naszego duchowieństwa.

Do czwartej kategoryi zaliczam malutką garstkę kapłanów-obywateli. Serce ich pała miłością i do niebieskiej i do ziemskiej ojczyzny. Są kapłanami i w świątyniach religijnych i w »narodowych pamiątek kościele;« służą u ołtarzy wiary i u ołtarzy ojczyzny. Jako katolicy pobożnie obchodzą święta kościelne, jako Polacy i Litwini czczą święta narodowe. Dla nich nie jest obojętnym dzień „Konstytucyi 3-go maja“, ani uroczystość odsłonięcia pomnika Mickiewicza. Żywiąc cześć religijną dla świętych, ojczyznę niebieską zamieszkujących, czczą zarazem pamięć bohaterów i geniuszów, którzy są chlubą narodu i strzegą, by imię jego nie zostało wymazane z ksiąg żywota. Takich jednak jest mało, można ich na palcach policzyć. To kropla w morzu, tembardziej, że wpływu na rządy dyecezalne, ani na kierunek seminaryum nie mają żadnego.

Widzimy więc, że ogół kleru naszego, z wyjątkiem małej garstki, dla obrony narodowej nic nie czyni. Przeciętny ksiądz u nas to mniej, lub więcej ślepe narzędzie, wystraszony niewolnik rządu.

Jednej rzeczy nie rozumiem, mianowicie, dlaczego rząd tak się obawia naszych księży. Powinien by raczej więcej rozdawać orderów za *wiernuju służbu cariu i otieczestwu.* Naprawdę rząd przecenia nasze siły, za dobre ma o nas wyobrażenie. Gdyby znał naszych księży, mogłby sobie spokojnie spoczywać na laurach.

Nie, nie! Niebezpieczeństwo dla dążności rusyfikatorskich tkwi nie w duchowieństwie, lecz w inteligencyi świeckiej, w mieszczaństwie, w masach nawet ludowych. Pomimo rusyfikatorskich wpływów szkoły i wojskowości, lud nasz jeśli nie wrogo — to obojętnie względem rządu jest usposobiony. Lud to biała karta, na której nic jeszcze nie napisano. Dobrodziejstwa uwłaszczenia nie są dziś odczuwane przez młode pokolenia, które nie znały pańszczyzny. Gospodarstwa wskutek rozrostu ludności drobnieją, a z niemi drobnieje i wdzięczność dla »wspaniałomyślnego« rządu. Ucisk religijny, trudność dostania w swym kraju chleba dla tego tylko, że się jest katolikiem, otwierają chłopom oczy. Zdzierstwo, łapownictwo, buta »czynowników« wszelkiego autoramentu nie budzą w ludzie sympatyi dla rosyjskich porządków. A taki pomnik Murawiewa rozbudził patryotyzm nawet w praczkach i dewotkach wileńskich. Mojem zdaniem rząd rosyjski uciskiem religijnym, nizkością moralnego poziomu swych *diejatieli* przeszkadza własnemu dziełu i ułatwia »polską propagandę«, (tak nazywa rząd polską kulturę zaszczepioną i rozwijającą się przez tyle wieków w dobrowolnem połączeniu Polski i Litwy). Lud nasz, złączony z Polską wiarą, pacierzem, książką do nabożeństwa, wspólnymi śpiewy religijnymi, wspólną niedolą, więcej w duszy cięży ku niej, niż ku Rosyi. I gdyby przeciętnego chłopa zapytać: jakiej chcesz szkoły — polskiej czy rosyjskiej, w jakiem wojsku chcesz służyć — w polskiem, czy rosyjskiem, napewno wybrałby polską szkołę i wojsko polskie. Lud nasz nie stał się patryotycznym po rosyjsku i bez żalu, jeśli nie z radością przeszedłby pod władzę innego rządu.

Śmiało konkluduję, że w masach społeczeństwa naszego więcej jest odpornego żywiołowo pierwiastku, niż w duchowieństwie, wychowywanem bardzo kosmopolitycznie, i bardo lojalnie w seminaryum, a zdemoralizowanem w życiu późniejszem.

Brak poczucia obywatelskiego w naszych księżach daje się wytłumaczyć wychowaniem seminaryjnem. Przygotowują tam wierne sługi atolicyzmu, ale nic nie mówią o służeniu krajowi. Rząd tak chce i życzeniom jego staje się zadość. Wówczas, gdy profesorowie rosyjscy na lekcyach historyi i literatury rosyjskiej, nie opuszczą żadnej sposobności wpajania klerykom przekonań rusofilskich, już to przez wykazywanie piękności mowy i literatury rosyjskiej już to przez podkreślanie sławnych momentów w dziejach narodu rosyjskiego, profesorowie

duchowni nic nie czynią, dla zaszczepienia miłości ku literaturze i historyi swojskiej. Kleryk opusza seminaryum, znając dobrze Puszkina, Lermontowa, Żukowskiego, Gogola, a nie mając często pojęcia o Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskiem, a nawet Sienkiewiczu, jeżeli przypadkiem w czasie wakacyjnym nie wpadnie mu dzieło poety lub powieściopisarza polskiego do ręki. Na pamięć umie historyę rosyjską, a opolskiej nie ma najmniejszego wyobrażenia. Nawet ducha opozycyi względem rządu, opartego na podboju i knucie, traci w seminaryum, słysząc często zasadę: »wszelka władza pochodzi od Boga, należy stosować się do jej woli we wszystkiem, co się nie sprzeciwia prawom kościoła.« O obronie praw narodu nie słyszy ani słowa. Może ostrożność zamyka usta profesorom i zwierzchnikom, przykład seminaryum kieleckiego zdaje się taką ostrożność usprawiedliwiać. Ale dla czego nie rzucą kilku słów z zakresu obowiązków obywatelskich nawet tym, co już się wyświęcili na kapłanów? Dla czego choć przy pożegnaniu, na cztery oczy nie napomkną o miłości dla swej ziemi, mowy, narodowości? Dla czego z ust biskupa nie słyszymy nigdy kapłańsko-obywatelskich wskazówek? Czy też z braku ufności? Przyczyna tego wymownego milczenia dla mnie jasna. »Z obfitości serca usta mówią«, powiada Pismo Św. Nie ma tam obfitości, gdzie usta milczą.

Taka kilkoletnia atmosfera kosmopolityzmu i lojalizmu gasi i te iskierki uczuć patryotycznych, które klerycy wynoszą z domu. Niewątpliwie nie jeden przynosi do seminaryum spaczone pojęcie narodowe już ze szkół rządowych, gdzie profesorowie są nietyle pedagogami ile urzędnikami i narzędziami polityki rosyjskiej; gdzie podręczniki historyi służą celom rządowym, podkreślają smutne, ciemne karty z dziejów naszej przeszłości, a świetne i wzniosłe pomijają milczeniem; gdzie w umysły młodzieńcze wpajają, że Litwa już przed połączeniem się z Polską była prawosławną i rosyjską, a tylko intrygi polskie wytrąciły ją z tej wskazanej przez opatrzność drogi i oddały na łup Polski, która jak powój obwiła się około litewskiego dębu, czerpiąc zeń soki i życie, aż wyssany dąb runął a z nim powój. Ale oto teraz Litwa i Ruś wróciły na drogę swego przeznaczenia dziejowego, i w miarę usuwania naleciałości polskich Litwa odradza się, rozwija i kwitnie pod opieką sławnej, wielkiej Rosyi, szczególnie od czasów Murawjewa, który raz na zawsze wyzwolił kraj z pod jarzma polskiego. Nie każdy umysł, szczególniej umysł młodzieży z pierwszych klas, ma dosyć krytycyzmu do zwątpienia w prawdziwość tych urzędniczych wykładów, nie każdy szuka źródeł innych do wyjaśnienia swych wątpliwości, nie każdemu wpadnie bezstronna historya do rąk, szczególniej u nas, gdzie prawda historyczna obcina się nożycami cenzorów rosyjskich. Tak kształci szkoła

rosyjska, a seminaryum nasze duchowne wileńskie rusyfikatorskich wpływów nie myśli neutralizować, raczej je utrwala. Szkoła rządowa i duchowna-katolicka podały sobie ręce, a owocem tego sojuszu — duch naszych księży obojętny, jeśli nie wrogi dziełu obrony narodowej.

Jak duch pokutujący błąka się wśród duchowieństwa naszego idea nawrócenia Rosyi na katolicyzm. Przez wyrzeczenie się ideałów narodowych chcą zapewnić powodzenie ideałom religijnym. Idea ta doszła punktu kulminacyjnego w piątym dziesiątku lat kiedy liczni przedstawiciele arystokracyi rosyjskiej zaczęli zagranicą przechodzić na łono kościoła katolickiego. Martynow, Golicyn wiedli gorliwą polemikę w obronie katolicyzmu, a współczesny nam myśliciel rosyjski Włodzimierz Sołowjew nawoływał niedawno jeszcze Rosyę do połączenia się z kościołem zachodnim. Podobno dziś nawet w Petersburgu są rodziny arystokratyczne, duchem należące do katolicyzmu, jak np. książęta Wołkońscy. Obecnie ruch na korzyść katolicyzmu ustał zupełnie. Być może w Petersburgu są jednostki, które w urzędowym prawosławiu nie znajdują zaspokojenia swych religijnych potrzeb duchowych i szukają innej, wznioślejszej, niezależnej religii. Ale kogoż nawracać myślicie u nas? Czy te szumowiny społeczeństwa rosyjskiego, co napłynęły tutaj, aby wzbogacić się i używać kosztem złupionego kraju, czy może te wyrzutki naszego społeczeństwa, które dla posady, dla urzędu frymarczą sumieniem? czy może te nasze Polki, co wychodzą za Moskali i, czując przypływ spóźnionego patryotyzmu, uczą swe małe kacapiątka po polsku — hodując najlepszy materyał na szpiegów rządowych? Nie! ci nie porzucą prawosławia, które już w tem życiu daje swym wyznawcom raj w *Siewiero-zapadnom*, *Jugo zapadnom i Priwislanskom* krajach. Zresztą jaka może być mowa o nawracaniu u nas, gdzie nie sumienie, nie przekonanie, lecz ukazy carskie i policya wyznacza religię? Najwyżej może być mowa o jednaniu sympatyi dla naszej wiary. Zgoda! Ale czy do tej sympatyi wiedzie droga zaprzaństwa narodowego? Nie! Cześć dla siebie, dla naszego kościoła możemy pozyskać jedynie przez wyższość umysłową i moralną. Niech słowo »ksiądz«, które dziś stało się synonimem sybarytyzmu, chciwości i obłudy, stanie się równoznacznikiem wyrazów: rozumny, sprawiedliwy, bezinteresowny, pełen miłości dla cierpiących, a wówczas nawet »stupajki« moskiewskie schylą przed nami głowy, tak jak świat pogański ukląkł przed męztwem, czystością moralną i poświęceniem się pierwszych chrześcijan. Niestety! my z pierwszymi chrześcijanami nic prócz nazwy nie mamy spólnego. Wrócić do miłości Boga i bliźniego, do poświęcenia się, gotowego na męczeństwo, bez zrzeczenia się praw narodowych i historycznych —

oto jedyna droga ku wywalczeniu lepszej przyszłości tak dla kościoła, jak dla kraju. Droga politykowania, obłudy, podłej uległości doprowadzi nas do tego, że naród nami wzgardzi, a Moskale lekceważyć nas będą i kopną jak psa, co natrętnie do nóg się ciśnie.

MATACTWA UGODOWE. [1])

(Głos z Warszawy).

Łudzono nas zapewnieniami i sami chętnie się łudzimy, że ugodowość w Warszawie nietylko zupełnie zbankrutowała, ale że ugodowcy, wzgardzeni przez społeczeństwo, odepchnięci przez rząd, musieli zaprzestać swych występnych machinacyi i dziś są pastwą wstydu i wyrzutów sumienia.

Niestety, tak nie jest! Mniej są głośni, skromniejsi, ale roboty nie zaprzestali. Robota zaś ich wszelka zawsze ma za skutek tępienie zdrowych, zbawczych instynktów narodowych, obdzieranie nas z godności narodowej, z całej spuścizny po świetnej przeszłości.

Dowód, że tak jest istotnie, przedstawia n. p. 10-ty tegoroczny numer *Kraju* petersburskiego. Przeprowadzono tam ze szczególnym talentem i przebiegłością kampanię przeciwko listowi Sienkiewicza do baronowej Suttner i, co ważniejsza, przeciwko wpływowi, jaki list ten wywarł na opinię polską.

Jestto niewątpliwie rezultatem bałamuctw ugodowych, że ogół nasz oddał sympatye swoje Boerom. Ogół nasz nie pojmował doniosłości tego faktu, ale ugodowcy rozumieli dobrze i z radością zacierali ręce. Mieli dowód namacalny, że trucizna, sączona przez nich do ducha narodowego, działa.

Rozważmy tylko. Zdarzyło się to od rozbiorów p o r a z p i e r w s z y, iż uczucia nasze w polityce międzynarodowej zbiegły się z tendencyami, a więc i z interesami opinii moskiewskiej i rządu. Gazety rosyjskie jednogłośnie wymyślają co dzień Anglikom; oficerowie rosyjscy śpieszą do Transwaalu na pomoc Boerom. Jeśli weźmiemy pod uwagę doświadczoną praktyczność moskiewską w polityce, to nie będziemy ich posądzać o jakieś bezinteresowne sympatye; pod współczuciem dla Boerów tkwi interes państwowy i narodowy Moskali, interes

---

[1]) Ten list z Warszawy nie pochodzi od żadnego z naszych stałych korespondentów, drukujemy go jednak, jakkolwiek jest trochę spóźniony, ponieważ zawiera trafne uwagi o taktyce ugodowców i wyraża opinię jeżeli nie ogółu, to zdrowej i rozumnej politycznie części społeczeństwa polskiego.

był i jest zawsze jedyną pobudką uczuć tego narodu. Czyż trzeba dowodzić, iż co jest pożytkiem politycznym dla Rosyi, nam, Polakom szkodę przynieść musi. Nasz upadek, nasze krzywdy, toć przecie następstwo potęgi państwowej Rosyi.

W tych czasach, kiedy jeszcze ugodowcy nie stępili zdrowego instynktu narodowego — i czuliśmy, i rozumieliśmy, że w sprawach politycznych trzeba zawsze stawać na biegunie przeciwległym dążeniom Moskwy. Los Słowian południowych był nam bliższy, niż sprawa Boerów, a jednak ojcowie nasi tworzyli legiony dla Turcyi Czy potomkowie rycerzy Sobieskiego robili to z sympatyi dla muzułmanów? Czy synowie wolnej Rzeczypospolitej żywili uznanie dla despotyzmu sułtanów? Nie! Nikt nam tego nie zarzucił i nikt nas o to nie posądził. Ale po drugiej stronie stała Moskwa, dziedziczny wróg wszelkiej wolności, krzywdzicielka narodów! Jej osłabienie nas wzmocnić mogło, jej klęska stać się mogła zbawieniem naszem. W tem było nietylko żywe działanie zbawczego patryotyzmu, ale także mądrość polityczna. Nawet ze względu na solidarność i braterstwo narodów nikt nam nic zarzucić nie mógł: zasługi Polski dla cywilizacyi większe są, niż Serbii, Polacy cierpieli bardziej, niż Serbowie, więc gdzie następują sprzeczne interesy dwu tych narodów, ani Francuz, ani Anglik wahać się nie może, a cóż dopiero Polak.

Dziś dzieje się inaczej, niż wtedy. Ale bo wtedy umysły i serca nie były jeszcze zatrute sofizmami ugodowców Innej przyczyny nie ma. Kiedy im wymyślano, kiedy cieszono się ich upadkiem, oni robili swoje, potrafili obałamucić ogół, potrafili zobojętnić najpotrzebniejsze, najczynniejsze podniety istnienia narodowego.

Bo, powiedzcie, co nas może obchodzić sprawa nieznanego narodu na południu Afryki? Nic o nim nie wiemy: drobny jest i nie zasłużony ludzkości. Natomiast Anglia tworzy jedyną przeciwwagę Rosyi. Anglia zadała Rosyi ciosy dotkliwe pod Sewastopolem i na kongresie berlińskim. Kto w Europie zechce i zdoła powiedzieć kiedy słowo przeciw politycznemu rozpasaniu Moskwy? Przecie nie Prusy — wspólnik rozbiorowej zbrodni; nie Austrya, targana konwulsyami rozterek wewnętrznych, nie Francya, liżąca ręce cara. Tylko Anglia. A więc to *jedyny* nasz sprzymierzeniec. I oto my dziś cieszymy się z klęsk tego sprzymierzeńca, nie taimy głośnej radości, iż Anglia traci siły w Afryce, których może niebawem potrzebować będzie w pojedynku śmiertelnym z Rosyą.

Czyż to nie zanik zupełny zmysłu politycznego, czy to nie objaw ślepoty, zatraty uczuć narodowych. Powiedzcie? Ale na tem nie koniec Sam fakt jedności uczuć z Moskwą już ma fatalną doniosłość. To zbliża

narody, to ich posuwa ku porozumieniu się, ku ugodzie — kata z ofiarą!

Moskale to rozumieją. Cenzura warszawska nakazuje sympatye dla Boerów i niechęć do Anglików. I ugodowcy to rozumieją. Oni jedni mają świadomość stanu rzeczy. Z własnych ust ich słyszałem.

I oto list Sienkiewicza wstrząsnął opinią, zaprotestował przeciwko głupocie, wskazał trafną drogę myślom i uczuciom narodu.

Czy Sienkiewicz rozumiał całą doniosłość swego kroku? Nie wiem. Wątpię zaś nieco dlatego, że i on w niejednem uległ ugodowcom i nie wzdragał się pisywać do *Kraju.*

Ale Sienkiewicz jest szczerym Polakiem, a talenty mają chwile bezwiednego jasnowidzenia, moc intuicyi.

List Sienkiewicza dostał się do Warszawy szybko i krążyć począł z rąk do rąk w licznych kopiach, drukowanych i pisanych. Wrażenie było potężne.

Mistrz słowa i myśli polskiej wykazał, iż nie wolno zapominać o krzywdach narodu własnego, iż nie wolno złorzeczyć Anglii, temu najbardziej prawemu dziecku cywilizacyi, kiedy się stoi wobec istotnych tyranów i zaborców.

Mądrość tej prawdy spotęgował urok pięknej formy. Wszyscyśmy byli pod wrażeniem tego uroku. Zdawało się, iż grabarska robota ugodowców na tym przynajmniej punkcie pójdzie w gruzy.

Ale oni mają wytrwałość i walczyć umieją — to, niestety, przyznać im trzeba.

Więc naprzód ukazał się list Sienkiewicza, wydrukowany w *Kraju* jawnie — warszawskim pismom nie pozwoliła go drukować cenzura. Ale też w *Kraju* umieszczono dopisek: »List ten nasuwa pewne uwagi i trudno uwolnić się (!) od uczucia niejakiej wątpliwości, czy słusznie zrobił nasz wielki pisarz, odmawiając podpisania odezwy?«

Była to pierwsza strzała, przeznaczona do zabicia wrażenia. Ale ta chybiła. Przeciwnie, poczęto się oburzać. Wobec powszechnego uniesienia dopisek *Kraju* syczał jak bluźnierstwo.

I znowu ugodowcy nie zrazili się niepowodzeniem. Poczekali trochę i po dwu tygodniach, gdy się już wrażenie zatarło nieco, przychodzi *Kraj*, w znacznej części poświęcony listowi. Rzecz zrobiona istotnie po mistrzowsku. Szelmowsko po mistrzowsku.

Przedewszystkiem idzie artykuł Straszewicza — napozór bardzo niewinny, patryotyczny, humanitarny.

Straszewicz to bodaj najniebezpieczniejszy z ugodowców. Artykuły jego w *Kraju* pełne są zwykle zapału, robią wrażenie uczucia szczerego. Ale w fałdach frazesów patryotycznych kryje się zawsze najsilniejsza trucizna ugodowa. Z jego wywodów wynika, iż ugodowość

nie jest wcale grobem patryotyzmu polskiego i narodowości polskiej, lecz, przeciwnie. że troska o dobro narodu, o przyszłość, o szczęście jego skłaniać powinna Polaków do wierności dla cara.

Czy taki Straszewicz jest człowiekiem szczerym? Różnie o tem mówią. Są tacy, co go mają za błądzącego tylko, ale nie brak i oskarżycieli o zdradę.

Gdzie prawda? — powiedzieć nie potrafię, to jednak pewna, że zdrada gorzej postępować by nie mogła, bardziej nie obałamuciła by opinii.

Więc pierwszy artykuł jest Straszewicza. Nie zarzuca on treści listu Sienkiewicza nic, zdawać się może, iż nawet zgadza się na nią. Dowodzi tylko, że należało odezwę podpisać. W artykule Straszewicza nic nie zgrzyta, przeciwnie, powołane są wielkie hasła wolności, sprawiedliwości. Sienkiewicz właśnie dlatego powinien był odezwę podpisać, iż jest synem narodu krzywdzonego! Podpis byłby nadał tem większą siłę dalszym wywodom. Autor rozumie doskonale, iż, aby ugodowego celu dopiąć, trzeba przedewszystkiem usunąć wpływ uroku, rzuconego na opinię przez list Sienkiewicza; to też powołuje na świadectwo wielkie cienie Pułaskiego i Kościuszki: oni krew przelewali za naród, walczący za oceanem za wolność przeciwko Anglikom, a Sienkiewicz pożałował kropli atramentu w świętej sprawie krzywdzonego narodu.

Czy nie zręcznie? To też przyznać trzeba, iż cel został osiągnięty przynajmniej w części. Po przeczytaniu artykułu Straszewicza wielu krótkowidzów powtarzać zaczęło: pewnie, że powinien był podpisać... święta sprawa.. wolność... sprawiedliwość.

Straszewicz, pracując od lat wielu dla odarcia narodu z tego jedynego skarbu, jaki nam został — z godności, z myśli śmiałej a podniosłej, tu podstępnie przelicytował Sienkiewicza frazesami i zamiaru dopiął.

Gdy już urok nadwyrężono i grunt przygotowano, występuje autor drugi, jakiś P. (pewnie sam mistrz Piltz) i dokonywa operacyi dalszej, już bolesnej, której by może opinia nie zniosła, gdyby nie odurzające frazesy Straszewicza. Przed operacyą — chloroform.

Ów P. przekonywa, że list Sienkiewicza był szkodliwy. I dlaczego? Moskale mogli go wziąć do siebie!

Aby ogół łatwiej przełknął taką wstrętną kapsułkę i aby nie ściągnąć na siebie burzy słusznego oburzenia, *Kraj* niby to powtarza rozmowę z jakimś Moskalem, nam jakoby przychylnym (?!). Ponieważ Moskal nie wymieniony, więc prawdopodobnie to wymysł czysty, figiel mądrości p. Piltza.

Zarzuca Piltz Sienkiewiczowi, iż mógł dotknąć Moskali, a tego robić nie wolno!... Słyszycie! Nie wolno mówić głośno przed światem o krzywdach naszych, nie wolno apelować do Europy... Sprawa polska jest wewnętrzną sprawą rosyjską(!!!), a Moskale są »dumni i silni«, więc ich obrażać nie należy. Naturalnie, odsądzono przytem Sienkiewicza od pojęcia o polityce i od prawa przemawiania w sprawach narodu, którego jest takim świetnym reprezentantem.

Sprawa polska jest wewnętrzną sprawą rosyjską, nasze krzywdy, nasze dochodzenie praw narodowych, to spór wewnętrzny; my jesteśmy jakby Moskalami, mówiącymi po polsku (tymczasowo), zwracanie zaś opinii Europy na to, co się u nas dzieje — to zbrodnia stanu, zdrada swojego państwa. Taką jest kwintesencya polityki ugodowej — to trzeba zapamiętać i przeciwstawić frazesom bałamutnym.

Gdy zachloroformowano opinię pięknymi frazesami i dokonano operacyi, wmówiono szkodliwość listu Sienkiewicza, występuje trzeci pan, jakiś Wb. niby z Berlina i wieńczy dzieło ugodowe. Szuka on jakoby Forstera owego, który z panią Suttner miał układać odezwę, a po drodze dowiaduje się, iż o liście Sienkiewicza nikt nie wie, że go Forster wcale nie czytał, że, słowem, wszystko głupstwo, bodaj nawet blaga. Więc nie było się czem wzruszać, czem zajmować. Szkodliwy wobec Rosyi, list jest wobec Europy bezcelowym. Europa nas słuchać nie chce. Zbagatelizowano rzecz całą. W umysłach bezkrytycznych ten Wb. najbardziej nadwerężył urok.

Prawda, iż zręczniej niepodobna było wziąć się do zabicia świętego wrażenia, jaki wywołał list Sienkiewicza? Niestety, i ten wypadek nie otworzył ostatecznie oczu ogółowi. W Warszawie nie widzimy oburzenia, a są tacy, co *Kraju* bronią, co się nim zachwycają.

Jestto po prostu nieszczęście.

Aby ocenić należycie bałamuctwa ugodowców, ich tragiczną wytrwałość i smutne męztwo, zobaczmy, jakie jest tło życia, co się dzieje dokoła.

Niezbyt dawno rozpuścili oni plotkę, jakoby zrobione są jakieś ustępstwa dla unitów. Mianowicie upewniali, iż nadal rząd i popi uznawać mają milcząco prawość ślubów t. z. »krakowskich« i prawość dzieci, zrodzonych z takich związków. Postanowienie takie zapaść miało już przed kilkoma miesiącami. Pytałem się przynajmniej 5-ciu ludzi z różnych okolic unickiego kraju — nigdzie najmniejszej zmiany, nigdzie najmniejszej ulgi, po dawnemu sroży się gwałt.

Kraj bezustanku pisze o reformach w wykładzie języka polskiego i robi minę, jakoby wykład ten miał być stanowczo prowadzony po polsku. Fałsz! Wiem z najlepszego źródła, iż tak wcale nie jest. Na

ostatniem posiedzeniu komisyi, prowadzącej ową reformę (?) pod przewodnictwem sławnego Dobrowolskiego, gdy mowa była o podręcznikach, Kułakowskij, profesor, dawniej redaktor *Warsz. Dniewnika*, z energią dowodził i wszystkich przekonał, że rozkaz carski wcale nie nakazuje wykładu polskiego, lecz pozwala tylko na używanie słów i zdań polskich przy wykładzie, jak to się dzieje przy wykładach języków francuskiego i niemieckiego. Więc podręczniki powinny być — jak do francuskiego i niemieckiego — rosyjskie!

Ugodowcy głoszą też, jako rzecz nadzwyczajnie pomyślną, nominacyę Zengera na kuratora okręgu naukowego, sławią rozum jego i cnoty, prawość i sprawiedliwość. Tymczasem jest on, jak wiadomo przyjacielem serdecznym tego właśnie Kułakowskiego!

W ostatnich tygodniach gubernatorzy rozesłali do wszelkich instytucyi społecznych i dobroczynnych, do fabryk, przedsiębiorstw handlowych i t. d. wezwanie, aby do ksiąg i do korespondencyi wprowadzić język rosyjski. Gorzej jeszcze... aby wyrzucić polski język, bo go nie wolno używać wcale. Więc chodzi nie o żadne względy kontroli państwowei, lecz o pospolitą, brutalną rusyfikacyę, o prześladowanie i tępienie polskości.

Takie jest tło, na którem odznaczają się ugodowcy, niedostępni prawdzie, niedostępni wyrzutom sumienia.

Ścigany.

ZJAZD RZEMIEŚLNICZY W PETERSBURGU.

Czy świadoma chęć zamanifestowania nowego gatunku ugody, czy naiwność, posunięta do głupoty, czy jedno i drugie razem złożyły się na to, że przewódcy sekcyi rzemieślniczej W. Od. Tow. pop ros. przem i hand. wyforsowali specyalną delegacyę »rzemieślników warszawskich« na zjazd wszechrosyjski rzemieślniczy w Petersburgu, który się tam odbył w końcu marca i początkach kwietnia r. b.

Znalazło się w Warszawie, aż 23 rzemieślników, którzy pod przewodnictwem prezesa i sekretarza sekcyi rzemieślniczej udali się gremialnie na zjazd w sam czas, aby nie opuścić nabożeństwa w cerkwi i uczestniczyć w uroczystości składania wieńców na grobach carów.

Przez dni 7 pracowali nasi delegaci, jak woły robocze, albo jak osły juczne. »Ogromna liczba członków zjazdu, jak pisze sprawozdawca *Gazety Rzemieślniczej* (warszawskiej) gromadzących się na posiedzeniach, była powodem, że dla znalezienia znośnego miejsca w sali należało już

o 9 $^1/_2$ stawić się na miejscu, a o 9-tej wyjechać z hotelu. Posiedzenia zaś kilkugodzinne, szybko po sobie następujące, przeciągały nieprzerwaną pracę do godziny pierwszej w nocy.« Zjazd trwał dni siedem.

Nie naszą jest rzeczą zastanawiać się nad tem, czy i jaką korzyść może przynieść rzemieślnikom »wszechrosyjski« zjazd, który zgromadził 1200 przedstawicieli rzemiosł *różnych*, który postanowił w programie wyczerpać przez *dni* 7 wszystkie kwestye, związane z bytem, majątkiem, kulturą i oświatą milionów ludzi, rozrzuconych na tysiącach mil kwadratowych. Rezultatem będzie prawdopodobnie jakaś ustawa *normalna*, jakiś nowy szemat z miejscem dla wpisywania nazw i licznymi wyjątkami dla »kresów«.

Wogóle zjazd ten, jak zresztą wszystkie prawie rosyjskie zjazdy, inicyowane przez rząd, był parodyą zjazdów, organizowanych na Zachodzie. Ale nie o to nam chodzi.

My pytamy: po co tam jeździli nasi rzemieślnicy? Czy po to, aby dowiedzieć się, że z ustaw rzemieślniczych tylko „*remieślennaja uprawa*“, która w Królestwie dotąd nie obowiązuje, ma być rozpatrywaną? czy po to, aby przekonać się, że liczne referaty, przez sekcyę rzemieślniczą i jej działaczy opracowane, nie bedą na zjeździe czytane, ani nawet w „*Pracach*“ zjazdu drukowane[1]), czy po to, aby zobaczyć Petersburg, hr. Ignatjewa, Wielkiego księcia i różnych innych dygnitarzy, którzy nader łaskawie rozmawiali z rzemieślnikami, co się szczególniej panu Juszczykowi podobało.

Ten pan Juszczyk, długoletni starszy zgromadzenia krawców warszawskich, wielbiciel Radziwiłła i przyjaciel Jeleńskiego, oznajmił na posiedzeniu sekcyi rzemieślniczej po powrocie z Petersburga, że wszyscy członkowie zjazdu dostaną *żetony* do noszenia przy zegarku i że jak tylko zacznie u nas obowiązywać rosyjska »remieslenna uprawa« — starsi i podstarsi będą mogli nosić mundury, złotem wyszywane!

Delegaci warszawscy dowiedzieli się od swoich kolegów »wszechrosyjskich«, że »majster nie po to trzyma ucznia, aby sobie konkurenta wychował, lecz po to aby miał siłę roboczą«, że wszechrosyjscy majstrowie ucznia »nie biją lecz — smagają, a jeżeli to będzie pod wpływem *filozofii* zabronione, to dla majstrów będzie ostateczna bieda« wreszcie — że »należałoby prawnie przedłużyć dzień roboczy dla uczniów rzemieślniczych z 10 god. na 11 $^1/_2$, bo i tak prawa tego nikt nie przestrzega!!!«

---

[1]) W „*Pracach*“ wydrukowano tylko jeden referat warszawski, rymarza p. Adama Zawadzkiego, indywiduum z pod ciemnej gwiazdy, którego delegacya nawet do swego grona nie przyjęła.

W końcu dowiedzieli się delegaci przy wzmiance jakiegoś świadka o ustawie cechowej finlandzkiej, że »niema Finlandyi, więc nie może być i ustawy finlandzkiej«. Niepowiedziano tego o Królestwie, ale dla tego tylko, że nikt na zjeździe nie odważył się ustawy cechowej, obowiązującej u nas, nazwać — *prawem.* To tylko — *instrukcya miejscowa!...*

Jeżeli delegaci nasi nie odnieśli z tego wszystkiego nauki, lecz innej zgoła, aniżeli ta, którą odnieść się spodziewali, to tylko szkoda było *czasu* i *atłasu.* A i jednego i drugiego poszło sporo.

Sekcya pracowała trzy miesiące, przygotowując się do uroczystości, spędzając wszystkie inne sprawy z porządku dziennnego i hypnotyzując świat rzemieślniczy śmiałą wyprawą »po złote runo do Kalifornii« jak powiedział p. Juszczyk. Dodajmy do tego dwa tygodnie pobytu w Petersburgu wraz z drogą i około 5.000 rs. kosztów, licząc skromnie...

Tak wygląda strona materyalna tej wyprawy. A moralna?... Ta wprost jest wstrętną i byłaby smutną, gdyby się nie widziało, że cała ta delegacya z małymi wyjątkami to cechowi majstrowie nowego typu, z tendencyami i dążeniami dorobkiewiczów — fabrykantów. Jeżeli ci panowie mienią się jeszcze rzemieślnikami, to tylko dlatego, że pieniędzy mają za mało, że pragną uniknąć stosunku z inspekcyą fabryczną i że nie chcą tracić prawa trzymania uczniów...

Stan rzemieślniczy warszawski ma inne tradycye, inne zapatrywania, inne dążenia. Ci do Petersburga nie pojadą, bratać się z Moskalami nie będą, jak również składać wieńców na grobach ciemiężycieli, kłaniać się dygnitarzom i bić pokłony po cerkwiach...

Vox.

Z CAŁEJ POLSKI.

Szlachetna denuncyacya. Listy księcia Radziwiłła i księdza Wroczyńskiego. Sprzedaże majątków ziemskich w Poznańskiem. Jubileusz uniwersytetu krakowskiego. Ostrzeżenie.

Zalecana niegdyś przez stańczyków zasada »szlachetnej denuncyacyi« ma wielu zwolenników, praktykujących ją gorliwie, ale nie ma jawnych wyznawców. Nawet ci, którzy ją chętnie stosują, gniewają się, gdy kto nazwie ich czynność właściwem mianem.

Z powodu aresztowań grudniowych w Warszawie niektóre pisma — między innemi i nasze — zaznaczyły, że pogrom czytelni bezpłatnych warszawskiego Towarzystwa dobroczynności i wogóle ograniczenie

działalności tej instytucyi wywołała denuncyacya księcia Michała Radziwiłła. Dzienniki ugodowe, galicyjskie i poznańskie, nazwały to oskarżenie potwarzą i rozpuściły fałszywą pogłoskę, że aresztowanie spowodowało wydanie odezwy Ligi Narodowej. Wprawdzie aresztowania poprzedziły o 10 dni rozesłanie odezwy, ale kto tam takie rzeczy sprawdza i bada. Wielu ludzi w prawdziwość kłamliwej połoski uwierzyło, w każdym zaś razie odwrócono uwagę publiczną od haniebnego czynu p. Radziwiłła.

Jakkolwiek mieliśmy dowody w ręku, nie spieszyliśmy się z ich ogłoszeniem, czekając na wyjaśnienie sprawy. Obecnie powtarzamy, że książe Radziwiłł oskarżył przed Imeretyńskim ludzi, należących do wydziału czytelni bezpłatnych, pomawiając ich o szkodliwą (widokom rządu rosyjsskiego) propagandę. Czy uczynił to z przekonania, czy z obrażonej miłości własnej, wszcząc się za to, że nie wybrano go na prezesa — to istoty czynu nie zmienia i na kwalifikacyę jego nie wpływa.

Denuncyacya, napisana po francusku, nie ma formy listu, nie zawiera bowiem żadnej tytulacyi, ale jest rodzajem zwykłej w urzędach rosyjskich tak t. zw. *dokładnej zapiski*, najczęściej osobiście wręczanej przy ustnem przedstawieniu sprawy i mającej na celu przypomnienie dygnitarzowi tego, o czem mu donoszono lub o co proszono. Według fotograficznej kopii dokumentu przytaczamy dosłowny tekst i przekład „zapiski“

3/XI 1898.

„Les 23 bibliothèques de la Societé de Bienfaisance, qui possèdant une cinquantaine de milliers de livres, desservent à Varsovie 140.000 habitants (11% d'enfants) forment depuis leur subit essor, qui date de dix ans à peine, une département special de la Societé. Ceux qui y sont entrés de leur plein gré en entrainant à leur suite environ deux cents membres actifs, avaient évidemment un but unique l'enseignement du peuple. Le manque d'un catalogue normal et certains cotés faibles de nos statuts leur ont donné la possibilité d'outre-

23 biblioteki Towarzystwa Dobroczynności, posiadające 40 tysięcy książek i obsługujące 140.000 mieszkańców (11% dzieci) od czasu ich nagłego rozwoju, który datuje się zaledwie od lat 10, tworzą specyalny wydział Towarzystwa. Ci którzy tam weszli samowolnie, pociągając za sobą około 200 członków czynnych, mieli widocznie za jedyny cel — oświatę ludu. Brak katalogu normalnego i pewne słabe strony naszej ustawy dały im możność przekroczenia tego celu albo wyzyskiwania go na swój sposób. Dziś dla usunięcia złego nie wy-

passer le but ou de l'exploiter á leur facon. Aujourd'hui pour enrayer le mal une réduction de catalogue ne suffit plus, il faut le changement presque total du personnel désservant les bibliotheques surtout du personnel dirigeant. Et pour cela il n'ya qu'un seul moyen — plus ancien que le departement des bibliothéques le V departement de notre soeieté, chargé de la distribution parmi les classes pauvres de tous les subsides en argent et en nature.

starcza redukcya katalogu, trzeba zmiany prawie całkowitej personelu, obsługującego czytelnie i zwłaszcza personelu kierującego niemi, a dla tego istnieje tylko jedyny środek — dawniejszy, niż wydział biblioteczny — 5-ty wydział naszego Towarzystwa przeznaczony do rozdzielania wśród klas ubogich zapomóg pieniężnych i w naturze.

Nie odpowiadamy ani za styl, ani za francuszczyznę księcia Radziwiłła. Na oryginale „zapiski" Imeretyński napisał własnoręcznie adnotacyę: „Do księcia D. L. Obolenskiego (pomocnik ówczesny generał-gubernatora). Proszę zebrać informacye i dostarczyć mi przed powrotem moim do Warszawy" Widocznie bliższe informacye potrzebne były Imeretyńskiemu w Petersburgu. Czy dostarczał ich Radziwiłł — nie wiemy, w każdym razie zbierano je przez rok, cały zanim dokonano zaleconej w denuncyacyi „zmiany personelu, obsługującego czytelnie i kierującego niemi", w sposób bardzo prosty, prawdziwie rosyjski — wsadziwszy go do cytadeli.

Nawiasem dodam, że Imeretyński, pisząc adnotacyę, zrobił gruby błąd, za który uczeń I klasy dostałby z pewnością zły stopień z rosyjskiego.

Tak oto dziś wysługują się butne niegdyś „litewskie pany, pachołkom carskim.

Ale nie wszyscy, o nie, na Peruna,
Jeszcze są w Litwie...

O są... godni naśladowcy Radziwiłłów. Jeden z nich, może potomek sług radziwiłłowskich, właśnie w siedzibie tego rodu, w Słucku, ks. dziekan Wroczyński napisał do gubernatora mińskiego, księcia Trubeckiego, następujący list:

„Dawno już z wieści prywatnych doszło do mej wiadomości, iż młodzi księża powiatu słuckiego zarówno sami, jak i przez usta jakichś stowarzyszeń, przez siebie pozakładanych, żywią ku mnie niechęć z przyczyny, że ja niezachwianie pełniąc swe obowiązki służbowe, jestem wierny

rządowi, czego te stowarzyszenia nie znoszą. Dotąd znosiłem to mężnie, licząc jedynie na łaskę i obronę Najwyższego Stwórcy. Teraz zaś, po otrzymaniu z zagranicy anonimowego listu ze stemplem pocztowym »Zakopane«, w którym mi zagrożono nawet pozbawieniem życia, jestem zmuszony niepokoić Jaśnie Oświeconego Pana i szukać możliwej, zwierzchniczej opieki.

»List ten wraz z przekładem mam honor załączyć. W nim mieści się straszna groźba zemsty na mnie ze strony tego propagandystycznego stowarzyszenia, jeżliby miał spaść choć jeden włos z głowy tych nieprzyzwoitych i niemoralnych młodych księży. Ten list bez podpisu, a zamiast niego napisano „X", to jest ksiądz. Lecz kogoż sprawa ta może interesować i czyich rąk jest dziełem, jeśli nie ks. P....., przyjaciela serdecznege i rodaka wysłanego ks. K.... (snadź dzielny denuncyant musiał się przyczynić i do tamtej sprawy przyp. koresp.) i jego stowarzyszenia. A któż wchodzi w skład tego stowarzyszenia? Więc sam ks. P., ks. K., ks. D., ks. Ko., ks. G. i niektórzy patryoci parafianie, jako to: żona obywatela P., znieprawiona rozwiązłością ks. P., wskutek czego mąż, broniąc żony przed rozpustą, był zmuszony wywieźć ją z majątku i osadzić w Mińsku. Obywatel J. B., parafii słuckiej, obywatel T. D. tejże parafii słuckiej, którzy wraz z rodzinami w imię swego ostrego patryotyzmu nigdy nie zwracają się do mnie dla spełnienia obrzędów i nie chrzcą u mnie swoich dzieci.

„Obywatel K., lubo wydaje się neutralnym, lecz siostry jego są wielkie patryotki i zostają w poufałych stosunkach z ks. P., a jedna z nich A. często bywa u niego i spełnia obowiązki organisty i niedawno pod pozorem roboty kwiatów kościelnych żyła z nim w plebanii trzy dni. B. Z., którego krewna zamieszkuje w Zakopanem i przez którą, jak należy przypuszczczać, został wysłany list anonimowy, który mam honor załączyć. Nieświeski ks. K. również niedaleki moralnie od ks. P. i przyjaźni się z nim, a także z mińskim kapelanem, a oprócz tego często naraża rząd na straty, wydając metryki bez marek stemplowych, jak to mi powiodło się spostrzedz na metryce ślubnej A. N. z A. L., wydanej 18 grudnia 1899 r. bez Nr. i marki stemplowej. Miński kapelan ks. G. pozostaje w przyjaznych stosunkach z ks. K., z całych sił popiera ich stowarzyszenie, mając możność dowiadywać się i powiadamiać o wielu sprawach i tajemnicach. Prócz wszystkich powyższych jest wielu innych jeszcze, o których braknie mi dokładnych wiadomości.

„Wobec powyżej przedstawionych okoliczności i jeśli ks. P. nie zostanie usunięty z tego swojego stowarzyszenia, jestem zupełnie prze-

konany, iż nie trudno będzie ich stowarzyszeniu przeprowadzić swój plan zbrodniczy odnośnie do mnie.

„O czem podaję do wiadomości Jaśnie Oświeconego Pana, załączając oryginał listu anonimowego w języku polskim i kopertę ze stemplem pocztowym „Zakopane“, tłómaczenie listu tego i metrykę ślubną A. N. Z. A. Ł. z d. 18. grudnia 1889.“

— W ostatnich czasach z powodu sprzedaży Komisyi kolonizacyjnej lub jej agentom kilku większych majątków polskich nawet *Dziennik poznański*, dotychczas usprawiedliwiający nieraz pośrednio kolonizatorów, wystąpił z gorącym protestem. W *Kraju* petersburskim, którego korespondentem jest właśnie redaktor *Dziennika*, zjawił się nawet projekt „nałożenia kwarantonny“ na t. zw. kolonizatorów t. j. wykluczenia ich ze społeczeństwa polskiego nietylko w zaborze pruskim, ale i w dwóch innych zaborach. W związku z tem poruszono myśl ogłaszania systematycznego w pismach polskich nazwisk kolonizatorów, czyli wznowienia rubryki, którą niegdyś prowadził *Głos warszawski*, dopóki cenzura rosyjska pozwalała, i którą pisma poznańskie wówczas, gdy wytwarzała się dopiero opinia publiczna w tej sprawie, uważały za niewłaściwą.

Dziś zmieniły zdanie pod wrażeniem istotnie oburzających faktów. Sprzedali majątki ludzie zamożni, jak p. Rożański, właściciel Padniewa, który nawet nie raczył odpowiedzieć na propozycyę kupca Polaka, ludzie zajmujący wybitne stanowiska, jak p. P..., którego nazwiska w tej chwili przypomnieć sobie nie mogę, wice-prezes kółka rolniczego. Dodać trzeba, że kolonizatorowie tymbardziej na wzgardę zasługują, że działają podstępnie, że starają się zamaskować właściwy charakter dokonanych tranzakcyj, sprzedając majątki niby to nabywcom prywatnym, Niemcom, którzy je zaraz odstępują Komisyi.

Ale ani najostrzej wyrażane, ani nawet systematycznie, że tak powiem zorganizowane oburzenie społeczeństwa nic tu nie pomoże. Słusznie, pisze w tej sprawie *Orędownik* i warto powtórzyć jego słowa, chociaż pismo nasze niejednokrotnie te same poglądy wygłaszało:

„Komisya kolonizacyjna pracuje od lat 14 i na jej wspomnienie podnosi się zawsze „głos oburzenia“ w opinii publicznej, w gazetach, na wiecach i z trybuny sejmowej. Nie można powiedzieć, żeby społeczeństwo nasze nie dość piętnowało „sprzedawczyków ziemi polskiej“. Były w gazetach stałe rubryki upomnienia i potępienia. I jakie zrobiliśmy doświadczenie przy tem? Oto w pierwszych szeregach kolonizatorów wystąpili ci, których społeczeństwo nasze uważało za filary swoje; przypominamy tylko Radłowo i Ryńsk, które pierwsze poszły

na kolonizacyę, ci, których uważano za materyalnie dobrze sytuowanych i ci. którzy mieli w narodzie opinię, że dla zasady narodowej nie wydadzą ani kawałka ziemi na niemiecką kolonizacyą. Zrobiliśmy doświadczenie takie, że na kandydatów poselskich stawiono ludzi, którzy równocześnie szachrowali z Komisyą kolonizacyjną.

„Doświadczenie 14-letnie powinnoby mieć jakąś wartość i poucza ono nas także, że to rzecz, co najmniej nadaremna wystawiać naprzeciw 200 milionom Komisyi kolonizacyjnej jedynie — „głos oburzenia." Jeżeli na tem ma polegać nasz obrachunek polityczny, to trzeba sobie raz po 14 latach otwarcie i publicznie powiedzieć, że taki obrachunek nie ma żadnej wartości.

„Taki obrachunek może nawet demoralizować społeczeństwo. Żadne jako tako zdrowe społeczeństwo nie może regulować swych żywotnych spraw „głosami oburzenia", albo „wiwatowania", a więc w gruncie rzeczy durzeniem się, tylko ścisłym obrachunkiem sił i zasobów własnych.

„Nie będziemy obszerniej wykazywali, do jakiego stopnia za echem owych „głosów oburzenia" czołga się jak zmora rzeczywiste demoralizowanie społeczeństwa, zwrócimy tylko uwagę na to, że na tym punkcie rozchodzi się faktycznie opinia trzeźwej i głębiej myślącego obywatelstwa z polecanym przez gazety nasze tak zwanym „głosem oburzenia". W tych kołach rozumieją rzecz tak: że jeśli jeden obywatel sprzedaje spory szmat ziemi polskiej, tj. własność ziemską realizuje na pieniądz, to równocześnie powinien być drugi obywatel, który zaraz swój zapasowy pieniądz realizuje na własność ziemską. Takich obywateli nie mamy na każdą potrzebę ani między szlachtą, nia między zamożniejszem mieszczaństwem. Spółki i Banki parcelacyjne przychodzą nam wprawdzie w pomoc z Bankiem Ziemskim, ale tylko w bardzo ograniczonych rozmiarach.

„Trzeba sobie zatem w końcu powiedzieć, że wobec 200 milionów Komisyi kolonizacyjnej jesteśmy prawie bezbronni. Spojrzenie w oczy tej nagiej prawdzie — to bynajmniej nie ostatnia rozpacz. Przeciwnie, to byłoby rzeczywiście obrachunkiem politycznym, mającym niewątpliwie wartość. Wyzwoliłby on nas najprzód z stanu wiecznego durzenia się, żywienia się „muzyką frazesu", jak nam napisano w Warszawie i we Lwowie, „karmienia się sieczką patryotycznych frazesów", jak to bardzo trafnie zaznaczał *Lech* gnieźnieński.

„Taki obrachunek polityczny miałby wielką wartość, bo on jedynie wbiłby nam raz w głowę to, czego w naszej głowie braknie, tj. przeświadczenie, że dzisiaj siła zarobkowa naszych warstw wyższych, naszej szlachty, jest zasłaba i dla tego obecnie stosunki socyalne wyrzucają ją z ziemi dziedzicznej, jak wypada kamień z procy."

W ciągu ostatniego miesiąca Komisya kolonizacyjna nabyła — nietylko od Polaków — 8 majątków, mianowicie 6 w Poznańskiem i 2 w Prusiech Zachodnich. Funduszów jej nie zabraknie i nie zabraknie nietylko między Niemcami, lecz i między Polakami chętnych do sprzedawania „świętej spuścizny po ojcach“ za dobre pieniądze lub wyzbywających się jej pod naciskiem konieczności. Trzeba się z tym faktem liczyć. A liczyć się z faktem — to nie znaczy wcale przechodzić nad nim do porządku dziennego, ale uwzględniać właściwe jego konsekwencye.

Tych konsekwencyj nie uznaje prasa, oburzająca się na sprzedawczyków. Zjawianie się „kolonizatorów“ w coraz większej liczbie świadczy, że nie jest objaw sporadyczny upodlenia osobistego. „Godni“, stojący do niedawna na świeczniku ludzie sprzedają ziemię Niemcom i Komisyi. Fakt ten oznacza, że owa grupa społeczna moralnie, ekonomicznie i politycznie bankrutuje.

Ale ten sam *Dziennik poznański* uważa „kolonizatorów“ urodzonych za jedynych prawowitych przedstawicieli społeczeństwa w sprawach publicznych i wszelkie usiłowanie — nie pozbawienia ich nawet przewodnictwa, ale zmuszenia do tego, żeby dopuścili do udziału w pracy politycznej i społecznej „niższe warstwy„ nazywa warcholstwem, ba, niekiedy zdradą sprawy narodowej. „Kolonizatorowie« mają niezaprzeczony przywilej reprezentowania narodu i stanowienia o jego losie, chociaż zarazem podkopują podstawę jego bytu. W niedawnej dyskusyi w prasie poznańskiej z powodu Banku spółek zarobkowych *Dziennik poznański* bronił przecie pośrednio tej zasady, że warstwy ludowe mają obowiązek popierania swemi krwawo zapracowanemi oszczędnościami zachwianych przedsięwzięć uprzywilejowanych kandydatów na kolonizatorów. Były wypadki, jak zaznaczył *Orędownik*, że wybierano na posłów takich, którzy majątki komisyi sprzedawali.

„Oburzenie“ i „potępienie“ swoją drogą, a przywilej swoją. Ba, taki kolonizator może przecie znakomicie prowadzić politykę ugodową, której dziś *Dziennik* się wyrzeka, ale do której chętnieby wrócił, gdyby z wysokich i najwyższych sfer kiwnięto palcem.

Dajmy pokój oburzaniu się i liczmy się po prostu z następstwami naturalnemi faktu ściśle i logicznie.

Oto co pisze dalej *Orędownik:*

„Taki obrachunek polityczny miałby wielką wartość i to polityczną, boby silnie uprzytomniał społeczeństwu, że swój byt narodowy musi rozkładać w życiu publicznem na wszystkie warstwy, mianowicie średnie i ludowe, a nie opierać go tylko na szlachcie i duchowieństwie

«Komisya kolonizacyjna może robić szczerby w klasie większych posiedzicieli ziemskich, może znacznie zmieniać skład i ustrój społeczeństwa polskiego, ale przecie — o bycie i przyszłości narodu polskiego w zaborze pruskim nigdy decydować nie będzie".

Taki obrachunek zrobił już dla siebie rząd pruski. Sejm pruski rozpatruje obecnie wniosek powiększenia reprezentacyi miast i gmin wiejskich w sejmikach powiatowych W. Ks. Poznańskiego. Na posiedzeniu komisyi przedstawiciel rządu, radca Brandt oświadczył, że rząd pruski nie może zgodzić się na powiększenie liczby reprezentantów gmin wiejskich, ponieważ przedstawiciele dobr rycerskich dotychczas bardzo dobrze reprezentowali interesy gmin wiejskich, a nadto ma tutaj wątpliwości natury narodowo politycznej.

Ciekawa rzecz, że rząd pruski darzy obecnie swem zaufaniem polskich właścicieli ziemskich, a okazuje nieufność polityczną względem włościan.

W pierwszych dniach czerwca ma być uroczyście obchodzony 500 letni jubileusz wszechnicy Jagielońskiej. Niestety, istnieje uzasadniona obawa, żeby ta uroczysteść nie dała pretekstu politykom krakowskim do urządzenia niedorzecznej i wstrętnej manifestacyi politycznej. Donoszą nam z Warszawy, że Spasowicz i Piltz krzątają się w celu przygotowania jakiejś nowej niespodzianki ugodowej. Projekt może im się udać, bo galicyjscy mężowie stanu i wszelkiego rodzaju luminarze tak wolno i ciężko myślą i tak słabo oryentują się w sprawach publicznych, że chociaż polityka ugodowa zbankrutowała z kretesem w zaborze rosyjskim, oni wciąż jeszcze wierzą niezachwianie w trwałość jej i powodzenie.

Zresztą politycy krakowscy są takimi zaślepionymi, fanatycznymi doktrynerami ugody, z usposobienia zaś takimi szczerymi, bezinteresownymi miłośnikami lojalnego lokajstwa, że nawet bez suggestyi Spasowiczów i Piltzów zdobyć się mogą na zamanifestowanie swoich uczuć i przekonań pojednawczych. Zaprosili przecie podobno na uroczystość jubileuszową uniwersytet warszawski, który jest po prostu agenturą rusyfikacyjną, na ziemi polskiej, chociaż wybitni uczeni warszawscy, pytani o zdanie, gorąco przeciw takiemu pohańbieniu starej wszechnicy Jagielońskiej zaprotestowali. Ze względu na ten protest i na niewątpliwe oburzenie opinii publicznej zaproszenie jest trzymane w tajemnicy. Dodać zaś trzeba, że nie zaproszono wielu najwybitniejszych pisarzy i uczonych warszawskich, zlekceważono tych nawet, którzy dla uczczenia jubileuszu krakowskiego pracowali nad wydaniem historyi wyższych szkół i akademii w Polsce. Pominięto ich z tego nibyto powodu, że zaproszenia rozsyłane są tylko instytucyom, a komitet, zajmujący

się wspomnianemi wydawnictwami, nie istniał legalnie, bo nie był przez rząd rosyjski zatwierdzony.

Nie można było jednak utaić sprawy przyznania doktoratów honorowych i w tym wypadku wystąpiły na światło dzienne tendencye wstrętne. Przyznano większą, niżby należało, liczbę doktoratów honorowych rozmaitym Moskalom zapewne z tytułu przyjaznych ich stosunków z p. Spasowiczem, bo o ich tytułach naukowych nikt nie wie. Bodaj jedyny, jako człowiek i jako uczony godzien tego zaszczytu, otrzymał doktorat honorowy — po śmierci, o której zapewne uniwersytet krakowski nie wiedział. Nawet z pośród Rosyan pominięto kilku prawdziwych uczonych, tembardziej zasługujących na uczcenie ich zasług, że okazywali się nieraz życzliwymi i sprawiedliwymi dla Polaków. Jakby umyślnie pominięto tych właśnie, których zalecali uczeni warszawscy, n. p. akademika Dubrowina, generała Szildner Szuldnera i in. a wybrano p. p. Kondakowów, Sklifasowskich i t. p.

Z zaboru rosyjskiego otrzymali doktoraty honorowe niemal wyłącznie filary ugody, a więc Spasowicz, Baranowski, Ludwik Górski. Ten ostatni, zasłużony zresztą obywatel, nigdy z nauką nie miał nic wspólnego i jest autorem kilku prac dydaktyczno-publicystycznych miernej wartości. Co prawda, o zasługach naukowych pp. Spasowicza i Baranowskiego nie wiele dałoby się również powiedzieć. Natomiast pominięto takiej miary uczonych, jak Tadeusz Korzon, Piotr Chmielowski, Aleksander Jabłonowski, Jan Karłowicz i t. d., takich pisarzy i publicystów, jak Miłkowski i Świętochowski, takich zasłużonych mężów, jak arcybiskup Hryniewicki, od którego godniejszym okazał się — biskup Puzyna.

Zapewne, nie można wszystkich zasłużonych obdarzać tytułami honorowymi. Ale nie wolno dawać pierwszeństwa p. Górskiemu przed Korzonem, ani p. Spasowiczowi lub Baranowskiemu przed Chmielowskim.

Sądząc z tych faktów o kierunkach i organizatorach jubileuszu, przypuszczać wolno, że okażą się oni skłonnymi do urządzenia ugodowej demonstracyi polsko-rosyjskiej a może nawet plan już po cichu ułożyli. Ale nie ulega wątpliwości, że żywioły gorętsze, zwłaszcza z pośród młodzieży akademickiej, na to bezczelne splugawienie starej wszechnicy polskiej odpowiedzią kontr-demonstracyą, która z natury rzeczy przybierze charakter ostry. Czy taka awantura, której przebiegu i skutku przewidzieć nawet nie można, będzie podczas uroczystości i wobec zaproszonych cudzoziemców pożądaną, pozostawiamy to do rozstrzygnięcia rozumowi politycznemu panów krakowskich. Mamy zresztą nietylko nadzieję, ale zupełną pewność, że między zaproszonymi uczonymi

gośćmi znajdą się tacy, który przeciw manifestacyi ugodowej w odpowiedni sposób zaprotestują.

Z kół młodzieży otrzymaliśmy protest przeciw zamierzonej manifestacyi, którego nie drukujemy, bo uważamy go za przedwczesny. Sądzimy, że politycy krakowscy namyślą się dobrze, zanim coś postanowią i że — jak się tu mówi — „czynniki«, mające wpływ na nich, w sposób kategoryczny dadzą im do zrozumienia, że uroczystości naukowe i narodowe nie nadają się do umyślnego wywoływania awantur, które skompromitowałyby nietylko uniwersytet krakowski, ale i powagę władz krajowych.

J. L. Jastrzębiec.

LISTY WARSZAWSKIE.

VI.

Pogotowie wojenne. — Dzień 28. kwietnia w Warszawie. — Bitwa pod Sans-Souci. — Pochód do cytadeli. — Stanowisko Imeretyńskiego. — Kleryki i kozacy. — Prasa ugodowa współczuje kozakom. — Opinia rosyjska o *Kraju* i p. Piltzu.

Czytając w dziennikach o zbrojeniu się Rosyi i o jej pogotowiu wojennem w warszawskim okręgu wojskowym, Europa, pełna trwogi o swe bezpieczeństwo, ani pomyśli o tem, że te wojska potrzebne są w Polsce zabranej przedewszystkiem na wrogów wewnętrznych, że są one tą strażą biblijną u grobu na wypadek zmartwychwstania. Straż jest tchórzliwa i zabobonna, na każdy szmer zrywa się na nogi i za broń chwyta, Pamiętacie słynną mobilizacyę wojsk rosyjskich w dniu odsłonięcia pomnika Mickiewicza: na rynki miasteczek wytoczono wówczas armaty, rozdano armii naboje — oczekiwano wybuchu powstania.

Rząd rosyjski przechodzi takie emocye co rok w pierwszych dniach maja, jakby był w obawie, aby wiosenny pęd życia, odradzający wówczas ziemię polską, nie porwał z sobą narodu. Pamiętne mu są wypadki w rocznicę Konstytucyi 3 maja z r. 1891 i następnych, nie daje mu również spokoju myśl o dniu 1 maja. Na te dni poczyniono zawczasu i w tym roku rozległe przygotowania.

Akcyę wojenną przyspieszył warszawski Komitet robotniczy, wzywając robotników do zgromadzenia się w dniu 29 kwietnia (w niedzielę) w Alei Ujazdowskiej i do wyruszenia ztąd w pochodzie o godzinie 6 wieczorem ku pomnikowi Mickiewiewicza.

Takie niewinne hasło stało się powodem katastrofy. Nie było ono znane szerszej publiczności, spokojnej, filisterskiej publiczności, ta więc, jak zwykle w dniu pogodnym i świątecznym, wyległa pod wieczór na swej ulubiony spacer «w aleje«. W punkcie najruchliwszym, koło parku

Ujazdowskiego, o godz. 6 dały się zauważyć między publicznością szeregi zwarte robotników, podążających ku miastu. Prąd ten, ogarniający paręset osób, wymijał spacerowiczów i gdyby nie wścibstwo policyi poszedłby do kresu swego, nie zakłócając zbytnio porządku publicznego. Ci, co szli na przedzie, mieli czerwone znaki na ubraniu i śpiewali „Warszawiankę“. Policya zawróciła pochód, zagrodziwszy mu drogę; idąc z powrotem manifestanci natknęli się wkrótce (koło cerkwi) na nowy kordon, i znowu zawrócili ku miastu. Wówczas zaczęto nacierać na nich. Jakby z pod ziemi wyrosło, zjawiło się wojsko (z pułku litewskiego), którem otoczono całą część ulicy i trotuaru, gdzie zebrani byli manifestanci; kordonowi temu kazano się zamknąć, przypierając schwytaną w ten sposób publiczność ku Alei Róż i ulicy Szopena. Tutaj nastąpiło starcie. nazwane teraz przez Warszawę *bitwą pod Sans-Souci* (od nazwy kawiarni znajdującej się w tem miejscu, popularnie zwanej »patelnią«).

Ton i cały zakrój nadał owej bitwie niewątpliwie sam książę Imeretyński, który podówczas przejeżdżał tędy do Belwederu, Zdążył zatrzymać się chwilę, aby się porozumieć z policmajstrem, i pomknął dalej, bo koło powozu dało się słyszeć nienawistne gwizdanie i pomruk tłumu. W parę minut potem zjawili się kozacy, a na dany znak pomocnika policmajstra wpadli w gwałtownej szarży na tłumy, którym odwrót odcięło wojsko.

W powietrzu zaświstały nahajki, a parotysięczna publiczność, naciskana przez wojsko, nacierające na nią kolbami i przez kozaków, rzuciła się na taras kawiarni, przepełnionej niedzielnymi spacerowiczami. Kto mógł, uciekał ztąd, chroniąc się do parku Ujazdowskiego, wielu mężczyzn przesadziło mur, oddzielający kawiarnię od Doliny Szwajcarskiej, kobiety wyskakiwały z wysokiego tarasu na ulicę, gubiąc parasolki; inne miotały w policyę talerzami i szklankami. Pierwszy odniósł ranę w tej pamiętnej bitwie pomocnik policmajstra Zajfart. Ktoś z publiczności, pchnięty przez niego w piersi, uderzył go mocno w twarz; od tego zaczęła się pełna chwały utarczka. Wówczas bowiem Zajfart krzyknął dużym głosem na kozaków, aby mu biegli z pomocą, a właśnie, gdy krzyczał, ktoś z tyłu uderzył go okutym w żelazo kijem i zakrwawił. Nicbawem opatrzyło go i obandażowało pogotowie ratunkowe, ale wściekłość jego udzieliła się innym wodzom. A było ich niemało. Na uboczu stał policmajster Lichaczew, między generałami. Ci dawali mu rady strategiczne, a głosy komendy gorączkowej górowały nad tumultem, Tu i ówdzie bili policyę, a na ulicy Szopena ta musiała się schronić do bramy, zapewne nie z nadmiaru odwagi.

Ostatecznie zabrzmiała komenda, aby całą publiczność z kawiarni i ulicy, otoczoną przez wojsko, zapędzić w bramę parku Ujazdowskiego. Kiedy to uskuteczniono i zamknięto bramę, wolna przestrzeń koło kawiarni zapełniła się nowymi przechodniami i gapiami. Aczkolwiek ten nowy tłum nie brał udziału w poprzedniej walce, rozkazano i ten otoczyć i do parku zapędzić.

Park nie był zawczasu przygotowany na przyjęcie więźniów; pełno tam było od południa publiczności, a nadewszystko dzieci z bonami i niańkami. Tam też chronili się tchórzliwsi, którzy nie chcieli znaleźć się w bitwie. Tymczasem teraz wszyscy znaleźli się raptem w więzieniu, bez prawa i możności wyjścia na ulicę. Trzymano tak wszystkich w zamknięciu, w kordonach wojska, do godziny 10-tej wieczór, poczem wypuszczono dzieci do lat 6, z niańkami i matkami. Nikogo przedtem nie wypuszczono, ale chętnie puszczano do parku, powiększając w ten sposób liczbę więźniów. Ojciec, który tam się udał w trwodze o własne dziecko, zostawał więźniem.

O godzinie 10-tej, kiedy już ciemno było, postanowiono cały ten tłum, zamknięty w parku, przeszło 2000 ludzi liczący, przepędzić do cytadeli. Ulice, któremi pochód ten miał przechodzić, stały się widownią harców kozackich. Zatamowano wszelki ruch na ulcach: Alei Róż, Koszykowej, Kruczej, Brackiej, Szpitalnej, placu Teatralnym aż do cytadeli, a robiono to za pomocą bicia nahajkami przechodniów. A gdy się zaczął pochód, mieszkańcy domów po drodze mieli z okien widok nadzwyczajny.

Poprzedzany oddziałem kozaków i takimże oddzialem z tyłu zamknięty, szedł wolno między dwoma łańcuchami żołnierzy zbity, parotysięczny tłum publiczności — mężczyzn, kobiet i dzieci, przeważnie strojnie odzianych. Poza kordonem dokazywali cudów waleczności kozacy. Na wylotach wszystkich ulic, zkąd napływała publiczność, siekli nahajkami, jakby chcieli ją odpędzić od smutnego widoku grzesznych więźniów. Nieopisany wrzask kobiet i krzyki rozwścieczonych mężczyzn, bijących kozaków laskami, napełniały ulice, któremi szedł pochód. Napastowani przechodnie wpadali do bram, o ile były odemknięte; kobiety dostawały ataków nerwowych, po twarzach broczyła krew od uderzeń nahajki.

Tu i ówdzie ściągano kozaków z koni, i bez litości masakrowano (na rogu Brackiej i Zgody).

Pochód ten stanął w cytadeli o godzinie 1 w nocy. Tam zaprowadzono więźniów do koszar artyleryi i szeregowano: jednych na prawo, drugich na lewo. Jedna strona otrzymywała wolność, a w tej segregacyi kierowano się przeważnie względami kostyumowymi. Panowie

w cylindrach uchodzili cało. Sensacyę wywołał literat pewien, który nie miał cylindra, ale rzekł w porę: »Jestem współpracownikiem *Kraju*«; i policya rozstąpiła się przed nim z szacunkiem.

Pozostawiono około 1000 osób. Dzieci, kobiety i młodzież szkolną (a młodzieży tej było koło 600, kobiet 70) ulokowano w salach dolnych koszar; mężczyzn starszych w salach górnych. Przyniesiono trochę słomy, chleb, wodę, i niespodziewanie zaczęło się dla tej gromady nowe życie.«

Co p, Imeretyński zrobi z tymi ludźmi? trudno odgadnąć. Do dnia dzisiejszego czterysta osób oczekuje w cytadeli na wyrok.

Jak się to wszystko tłumaczy? Jaka konieczność państwowa popchnęła władzę do tego kroku? Nie tylko nie usprawiedliwia, ale nie tłumaczy władzy z jej własnego stanowiska sama manifestacya robotnicza. Na pierwszy rzut oka policya mogła zoryentować się, że pochód nie zagraża całości państwa, ani nawet spokojowi ulicy. W charakterze całego zajścia było coś więcej — była chęć wypoliczkowania nahajką Warszawy, wiele przewidujący zamiar przerażenia społeczeństwa. Można było zresztą aresztować bez bicia, jeżeli bito bez wyboru, to z serdecznej nienawiści względem Polaków i Warszawy. Rzucić zarzewie strachu w serce kraju, właśnie w dniu, kiedy ludność będzie na ulicy, właśnie w punkcie, gdzie jej będzie najwięcej — to był plan ułożony zawczasu. Podczas tej obławy i walki nie dbano o wybieranie robotników, chodziło o jakąkolwiek publiczność i o pobicie jej dla przykładu »na postrach wrogów«.

Takie ruchy niespokojne dzisiejszego generał-gubernatora dowodzą, że źle się czuje na swym posterunku. Okrucieństwo ludzi wschodnich, do których należy Imeretyński, jest najczęściej odwrotną stroną tchórzostwa, a to znowu rodzi się z nadmiaru wschodniej wyobraźni, której nie może sprostać niekulturalny i ciasny umysł. Ta sama bujna wyobraźnia dała mu śmiałość, gdy rządy obejmował, robienia władzom najwyższym zbyt dużych nadziei i przyrzeczeń. Nieukształconemu politycznie wydawało się, że niech tylko siądzie w Belwederze i ugłaska panów szlachtę, a naród zapomni swoich krzywd i będzie mu powolny, niby jagnię. Miał to być popis rządzenia krajem lecz powodzenie popisu oparte było tylko na wielkich ambicyach wschodniego człowieka i nie mniejszej — wyobraźni. Do tego czasu zdołał już przekonać się, żn kraj cywilizowany nie daje się łatwo omamić, i że on zadużo obiecywał sobie i innym. Ztąd ta wściekłość, ukrywana codziennie pod maską obłudy, a wybuchająca w chwilach krytycznych. Hurko traktował te rzeczy spokojniej, jak przystało na wojaka; nie łudził siebie i rządu i nie tracił równowagi. Imeretyński nie ma spokoju wodza wo-

jennego, a brak rozumu politycznego łata chytrością i nienawiścią. Pod tym względem jest nieodrodnym kozakiem, przyrodzonym wodzem tych kozaków, zapomocą których wszczepiał w niedzielę w mieszkańców Warszawy poszanowanie caratu. Nie dziw, że nazajutrz, przez wdzięczność dla wykonawców swoich myśli, ukazał się na mieście w stroju kozackim.

A wiecie zkąd wracał Imeretyński Alejami Ujazdowskiemi przed bitwą pod *Sans-Souci*? Z południowego przedstawienia w Małym teatrze, z operetki «Niewolnik grecki». Krwawo-operetkowe zestawienie z dramatem, którego tytuł »Niewolnik polski...«

Następnych dni, a nawet 1 i 3 maja było spokojnie, tylko defilujące po ulicach wojsko bezustannie przypominało o zajściach niedzielnych.

W poniedziałek aresztowano w seminaryum katolickiem kleryka pod zarzutem godzenia na całość armii rosyjskiej. Dom seminaryum stoi na placu pomnika Mickiewicza. Otóż kozacy, stojący za pomnikiem w dniu 29 kwietnia w oczekiwaniu wypadków, byli niepokojeni rzucanemi z dachu butelkami i dachówkami. Policya wyczuła w tem rękę kleru katolickiego i, zrobiwszy w seminaryum rewizyę, znalazła kleryka, który w sposób podejrzany zawalaną miał odzież. Może to on był na dachu? Niewiadomo, ale dla pewności wzięto go do więzienia.

Naturalnie prasa trójugodowa we wszystkich zaborach wyrazi współczucie policyi rosyjskiej, a potępi robotników polskich i całą publiczność za to, że się policyi naraziła. Niedarmo prasę tę zorganizował w jeden chór solidarny p. Piltz z *Kraju*. To, co pisał o wypadkach z 29 kwietnia *Dziennik Poznański*, podłością swoją zupełnie dorównywa stanowisku *Kraju*.

Słyszeliście pewno o przykrości, jaka spotkała Piltza w Warszawie: zaledwie paru głosami ocalał jako uczestnik kasy literackiej. To samo zamierzali z nim uczynić literaci rosyjscy w związku pisarzy petersburskich i jeżeli nie wykreślono go ze związku, to tylko dlatego, że obawiano się opinii, która może nie zrozumieć pobudek i wziąć ten krok za objaw haktyzmu względem Polaków.

Wszakże i literaci rosyjscy zaczynają się poznawać na tem, że Piltz ze swoim *Krajem* nie może być poczytywany za prawowitego przedstawiciela opinii polskiej.

W ostatnich dniach dziennik petersburski *Siewiernyj Kurjer* tak charakteryzuje znaczenie *Kraju*:

»*Kraj* jest na gruncie rosyjskim obrońcą i sprzymierzeńcem najniesympatyczniejszej w społeczeństwie Polskiem grupy t. zw. stańczyków... Sympatya do tej partyi u Polaka jest tak charaktyczną jak

u Rosyanina n. p. do *Moskiewskich Wiedomosti*. A tymczasem z powodu jakiegoś nieporozumienia, (które należałoby juz dawno wyjaśnić), przedstawiciele *Kraju* cieszą się w społeczeństwie rosyjskiem pewnem zaufaniem, uchodzą za przedstawicieli interesów polskich, podczas gdy większość Polaków nie chce słyszeć o żadnej solidarności z organem p. *Piltza*«.

Oto do czego prowadzi nieuczciwość w polityce. Oba wrogie sobie społeczeństwa wzgardziły meklerem, tworzącym nierząd polityczny i narodowy.

Zabawna historya o p. Łubie i armii rosyjskiej. W Wielki Piątek szedł Nowym Światem w Warszawie odział piechoty pod dźwięki marsza. Idzie sobie p. Łuba — trochę literat, trochę malarz — ot, cygan, ale dobry bursz. Dotknięty w uczuciach katolickich, stanął przed wojskiem i głosem stanowczym zakazał grać orkiestrze. Oficer na razie zdetonowany, skinął i marsz zamarł w powietrzu. Ale oficer wnet oprzytomiał i podskoczył do Łuby: — Coś pan ze jeden? — Wszystko jedno — jestem prawo; nie wolno grać w Wielki Piątek! Przekonało to Rosyanina, wszakże dla wszystkiego kazał go zabrać do cyrkułu, dokąd (odprowadziwszy wojsko do koszar) wkrótce sam się zjawił. Sprawa oparła się o dowódcę wojsk okręgu warszawskiego, ks. Imeretyńskiego. Stawiony przed jego oblicze, Łuba usłyszał taki wyrok: — »Oficer za to, że grał, będzie tranzlokowany; za to, że przestał grać na pańskie żądanie, odsiedzi 7 dni aresztu. Pan miałeś racyę, ale żeś ośmielił się wojsku sprzeciwiać, wyjedziesz w ciągu 6 godzin z granic Królestwa«. Łuba zaprotestował gorąco. To niemożliwe.! Jakże pojedzie, skoro nie ma pieniędzy. Uspokojono go, i jakaż była jego satysfakcya, kiedy powróciwszy do domu, znalazł na stole kopertę z 50 rublami!

Władza policyjna warszawska nie pozwoliła na urządzenie konferencyi literackiej w d. 3 maja, bojąc się odpowiedzialności za zebranie w takim dniu większej ilości literatów.

W powiatach hrubieszowskim i zamojskim (gub. lubelskiej) policya konfiskuje u włościan trylogię Sienkiewicza.

W d. 5 maja przybyła do Warszawy kompania pielgrzymów-sekciarzy, z gub. archangielskiej, złożona z 70 mężczyzn, a podążająca specyalnie do Jasnej Góry. Policya zażądała od nich okazania piśmiennego pozwolenia na odbywanie pielgrzymki. Pielgrzymi dowodzili, że są w Polsce, poza granicami Rosyi, więc świadectwo takie nie jest im potrzebne. Władze jednakże nie uznały ich za godnych oglądania oblicza M. Boskiej Częstochowskiej i, odstawiwszy pielgrzymów na kolej, odesłały z powrotem do domu.

Pomocnik policmajstra Zajfart, który w bitwie pod *Sans-Souci* odniósł ranę, ciężko choruje. Leży w gorączce, rojąc w snach o orderze. Odwiedza go Imeretyński. *Z . . . . t*

VII.

Warszawa 13 maja.

„Bitwa pod Sans Souci". — Manifestacya rusofilska w Krakowie.

Dzień 29 kwietnia nazwany przez dowcip warszawski, bitwą pod Sans-Souci« (w Alejach Ujazdowskich, w miejscu, gdzie się odbyło starcie między kozakami a robotnikami i publicznością, jest letnia cukiernia tak nazwana) zasługuje z wiele względów na uwagę i analizę.

Człowieka, nieobeznanego z policyjną metodą rosyjską, uderzyłaby tutaj najpierw brutalność prawdziwie tatarska i azyatycka.

Zobaczmy albowiem, jak właściwie rzecz się miała? Manifestacya robotnicza zapowiedziana była kilka dni naprzód i policya oczywiście o tem wiedziała. Nie wiedziała jednak o tem przeważna część puplicznośi, która zwyczajem warszawskim tłumnie wylega w Aleje Ujazdowskie po południu każdej niedzieli i święta. Widzimy tam wtedy połowę pracującej Warszawy.

Dzień, o którym mowa, był piękny i pogodny, tłumy zalegały aleje.

Około godziny 6-tej kilkudziesięciu robotników w czerwonych krawatach, zaintonowało wśród zbitego tłumu może chórem, może oddzielnemi grupami, »Czerwony sztandar«, z zamiarem udania się przez plac św. Aleksandra, Nowy Świat i Krakowskie przedmieście przed pomnik Mickiewicza. W tej właśnie chwili, wracając z miasta, przejechał alejami, generał gubernator Imeretyński.

Według jednych powitano go tu i owdzie już to gwizdaniem, już to okrzykami robotników: »Niech żyje niepodległa Polska«, które zapewne jego uszu nie doszły. Przed tem jeszcze piechota i policya zamknęły przejście od ulicy Pięknej z północy i przy cerkwi wojskowej z południa, tak, że publiczność i manifestanci zostali zamknięci w czworokącie, którego boki stanowiły parkan żelazny parku Ujazdowskiego i domy po drugiej stronie. Zaraz po przejeździe Imeretyńskiego, na dany przez niego znak, kozacy, trzymani w rezerwie, wpadli galopem w czworokąt, do którego piechota otworzyła im drogę, i zaczęli okładać nahajkami spacerującą publiczność, która najwięcej ucierpiała, ponieważ ro-

botnicy, uzbrojeni w laski, bronili się podobno dobrze i nawet przedostali się na wolność po za łańcuch policyi i żołnierzy i od ulicy Pięknej i Marszałkowskiej zbierali się znów w grupy, śpiewając w dalszym ciągu »Czerwony sztandar«.

Dzikie żołdactwo i kozacy bezkarnie znęcali się nad starcami, nad kobietami i dziećmi, które bito nahajkami i tratowano końmi; znaczną część wepchnięto do parku Ujazdowskiego, gdzie przelęknięte i wygłodzone matki, piastunki, niańki i dzieci trzymano aż do północy; za innymi żandarmi i policyanci wdarli się na taras cukierni »Sans-Souci«, gdzie się odbywały utarczki, a sceny brutalne i gwałtowne mięszały się tam z komicznemi. Nie oszczędzano nikogo. Aleje stały się sceną dzikich wybryków spuszczonego ze sfory kozactwa i żołdactwa, które pod okiem generałów rosyjskich i policmajstra Lichaczewa dokazywały cudów waleczności tratując dzieci i bijąc kolbami kobiety, mając przed sobą przeciwników, uzbrojonych w laski i parasole. — W tej zaszczytnej dla oręża rosyjskiego bitwie, został raniony pomocnik policmajstra Seyfarth, kilku kozaków także, według pogłosek, zwaliło się z koni. O ofiarach wśród publiczności trudno się dokładnie dowiedzieć: dziecko zostało stratowane, kilka kobiet poroniło następnych dni z przestrachu lub uderzeń; nikt zapewne nie zna liczby obitych batami i pchniętych kolbami. Powozy pogotowia ratunkowego miały być wzywane do dziesięciu razy dla opatrywania i odwożenia pobitych i ranionych. Późną już nocą pędzono ulicami miasta gromady aresztowanych, wynoszące razem do 2-ch tysięcy ludzi, których zamknięto w cytadeli i na Pawiaku. Dzikość żołdactwa i oficerów nie ustawała podczas konwojowania: zmęczonych znów zmuszano kolbami do marszu i rzucano słowa obelżywe. Haniebne sceny gwałtu i bezprawia działy się nie tylko w alejach: odbywano pościgi za podejrzanymi i po innych częściach miasta, po cukierniach i restauracyach, bito ludzi, spotykanych na ulicach; żądna bezcelowego zniszczenia tłuszcza azyatycka grasowala po Warszawie.

Bynajmniej nie twierdzę, że mój opis scen i gwałtów z dnia 29. kwietnia jest zupełnie ścisły: ścisłość w takich razach jest nieosiągnięta, jeśli się zważy nasze stosunki, w których tylko przy pomocy ustnych pogłosek i rzadkich świadków dochodzi się do wyobrażenia o fakcie lub obrazie i gdzie nie ma dziennikarskich i urzędowych sprawozdań. Twierdzę tylko, że unikałem przesady i chciałem oddać wiernie ton, nastrój i wrażenie chwili,

która zostanie w historyi Warszawy, jako nowy objaw wściekłości i brutalności satrapów rosyjskich.

Ta bezcelowa brutalność — wrodzona satrapom i »czynownikom«, Murawiewom i Klingenbergom, Orżewskim i Hurkom, w całej pełni. Człowiek, mierzący wypadki choćby miarą na pół ucywilizowaną, nie pojmie nigdy, w jakim celu te dzikie akty zostały dokonane? Można przecież być socyalistą lub kapitalistą, zwolennikiem rządów autokratycznych, lub demokratycznych, klerykałem lub demagogiem, lecz jednocześnie uznawać należy te normy życia społecznego, które chronią obywateli i masy ludności od mordu, pożogi, gwałtu i bezprawia, które dają jednostkom, grupom i narodom minimalne choćby rękojmie, że ich godność ludzka nie zostanie każdej nieoczekiwanej chwili zdeptana przez żołdaka lub policyanta, że to państwo, które ssie najżywotniejsze soki przez podatki, rekruta, zakazy i ograniczenia, zachowuje jakieś pozory legalności, w których skrępowana jednostka poruszać się i oddychać może.

Lecz pod rządem rosyjskim i to minimum praw pozostanie bezowocnem zawsze marzeniem. Wybitny znów oto dowód mieliśmy 29 kwietnia. W środek zebranej na przechadzce publiczności wpada z nahajkami kozactwo i czyni gwałty. Widzieliśmy już, że manifestacya była zapowiedzianą i władza mogła ze swego punktu widzenia, albo zamknąć wejścia do alei Ujazdowskiej, albo wyłowić z pośród publiczności kilkudziesięciu, czy nawet kilkuset manifestantów, jak to się nieraz praktykowało. Za rządów Hurki, niemniej dzikich i barbarzyńskich, nie batożono przecież tysięcy spacerującej publiczności, ani 3 maja 1891 roku, podczas obchodu konstytucyi, ani 17 kwietnia 1894 r. podczas obchodu Kilińskiego. Otoczono i aresztowano manifestantów, co dla starego żołdaka wystarczało. Teraz za rządów Imeretyńskiego, nazywanego w swoim czasie w Petersburgu »strogim zakonnikom« (ścisłym stróżem prawa), wypuszczono na publiczność kozactwo i bito bez różnicy płci i wieku. Co wywołać mogło ten wybuch wściekłości w tym synu Kaukazu, który jakiś czas zachowywał formy ucywilizowanego człowieka?

Jeżeli zwrócimy uwagę na pobudki wewnętrzne, psychologiczne, to najpierw postawiłbym poczucie bezkarności i zadokumentowania swojej siły. Ograniczony nadzwyczajnie w swoich atrybucyach istotnych, twórczych, tak, iż o każdy drobiazg, dotyczący zmian w zarządzie krajem, prowadzić musi długie rokowania z Petersburgiem, chciwy zaś władzy i żądny, jak każdy

satrapa rosyjski, wywierania trwogi, generał-gubernator popuszcza sobie cugli, kiedy tej żądzy zadość uczynić może. »Działaczowi« rosyjskiemu w Polsce niszczyć wolno jak najwięcej, budować jak najmniej. Pod ostatnim względem, władza jego jest mniejszą od prefekta francuskiego i landrata pruskiego. Cóż go w owej dzikiej żądzy powstrzymać może? Rosyanin wogóle, (wyłączam oczywiście Hercenów, Tołstojów, Turgeniewów i ludzi ich typu), nie ma poczucia honoru w rycerskiem i europejskiem znaczeniu wyrazu; jest Azyatą. Ma on zaledwie poczucie honoru służbowego, które wszakże kraść, rabować i rozbijać wcale nie zabrania. Czy go powstrzyma poczucie wstydu? Opinii europejskiej prawie nie ma, Rosya jest potężną, prasa przekupną, kłamstwo tryumfuje.

Azyata czci tylko siłę, jak Aryjczyk może czcić moralność, religię, ludzkość, wspaniałomyślność. On się upokorzy dopiero przed drugą siłą, która mu zaimponuje. I ze strony swoich i ze strony obcych Imeretyński miał zapewnioną bezkarność. Dodajmy do tego rozdrażnienia, które Azyatów i Rosyan ogarnia na słowo »bunt«, zważmy fakt, że musiał on odczuć niepowodzenie swej metody politycznej, że miota się, jak wściekły, wśród sprzecznych prądów, ktore płyną z Petersburga i podmywają go w Warszawie, że odkrywa na terenie działalności coraz nowe niebezpieczeństwa i zagadki, których się nie spodziewał.

Oprócz tych, są inne jeszcze wskazówki, które nam tłómaczą dzień 29 kwietnia. Wiem od ludzi najwiarogodniejszych, że następnych dni policyanci i żandarmi, usadowieni po fabrykach i zakładach przemysłowych, wszczynali rozmowy z robotnikami takiej mniej więcej treści: »Rząd, który zawsze bronił w Polsce ludzi klas niższych przed uciskiem panów i bogaczów, żałuje bardzo, że wam się w niedzielę trochę oberwało. Chodziło tam nie o was, lecz o tych panów, którzy także poczuli na sobie razy nahajek. Bardzo im dobrze! Oni zawsze was wysyłali naprzód, ażebyście dla nich kasztany z pieca wyciągali. I teraz chcieli mieć widowisko, ale zamiast tego dostali baty. Gdybyście tak wy ich kiedy przetrzepali, rząd nie miałby nic przeciwko temu«. Tylko rosyjscy czynownicy i szlachetni działacze, mogą się zdobyć na taką perfidyę! Po tylu bezprawiach i nadużyciach, z całą bezczelnością chcą zagrać na nucie demagogicznej. Nasz biedny lud, jest ciągle wystawiany na próbę którą naturalnie nie wszyscy wytrzymują. Przewrotność rosyjskiego rządu, posunięta do szczytu podczas powstania 63 roku, kiedy wpajano w lud nasz opaczne pojęcia o całym tym ruchu, odsłania się i dziś po 29 kwietnia.

Dzień ów głębszych i dokładniejszych wymaga komentarzy nad te, które naszkicowałem zaledwie w swoim liście. Wymaga on rozważenia wielu naszych czynników, i zupełniejszego jeszcze określenia dzikości rosyjskiej.

Przechodzę teraz na krótko do innego przedmiotu, który odłożony być nie może. Dochodzą nas tutaj pogłoski, że podczas uroczystości jubileuszowych uniwersytetu jagiellońskiego w Krakowie zanosi się tam na manifestacyę rusofilsko-ugodową. Jeśliby się to stało, wstyd i ból nasz byłby bez granic. Po stańczykach wszakże wszystkiego oczekiwać można. Szczyptę rozumu, którą mieli niegdyś, postradali już dawno; obecnie zdolni są do takich aktów służalstwa i hańby, jak pisywanie w *Czasie* szpiegowskich artykułów przeciwko ruchowi narodowemu w Królestwie. W każdym razie należy zawczasu obudzić czujność lepszych i szlachetniejszych żywiołów narodowych w Galicyi i Krakowie, należy sparaliżować zamiar stańczyków, należy przedstawić, że toastowanie na cześć braterstwa i trącanie się w tym duchu kieliszkiem z Rosyanami, podczas kiedy tutaj akty barbarzyństwa i przemocy przeciwko narodowi naszemu spełniają się codziennie, byłoby ostatniem poniżeniem i ostatniem zaparciem się przez stańczyków tradycyi i ducha polskiego. Nie chce się temu dać wiary, lecz doświadczenie uczy, że się to stać może. Czyżby Galicya nie posiadała ludzi z rozumem politycznym i zdrowem uczuciem narodowem?

Miejmy nadzieję, że może w prasie lwowskiej i krakowskiej znajdą się pisma i pisarze, którzy zawczasu tę ewentualność odwrócą, którzy jej następstwa przewidzą i oszczędzą społeczeństwu upokarzającego nad wyraz poniżenia.

Niezależny.

ODPOWIEDŹ P. LITWINOWI.[1]

Szanowny Panie!

Nie mogę wyrazić, jak przygnębiające wrażenie wywarł na mnie artykuł Pański. Od lat 15 blizko pracuję w Polsce i poznałem dobrze

[1]) Jakkolwiek „Głos z Litwy“ w numerze 4 opatrzyliśmy przypiskiem od redakcyi, zaznaczającym nasze zadanie w sprawie, o którą chodzi, w imię jednak zasady *audiatur et altera pars* zamieszczamy list ks. Żyskara. Artykuł o duchowieństwie na Litwie, który w n. b. drukować zaczynamy wyjaśnia szczegółowo tę ważną sprawę.

kraj cały, zwłaszcza Litwę. I dziwna rzecz, nie będąc z pochodzenia Polakiem, pokochałem całem sercem Polskę, życie moje i siły jej poświęciłem. Takich jak ja znaleźć można wielu.

Wychowany w szkołach moskiewskich pokochałem Polskę dla tego, że poznałem szlachetność, rycerskość, powiem nawet idealność polityki narodowej polskiej. Tem Polska obcych ludzi do siebie pociąga. Historya jej poświęcenia się, stałość jej synów w walce z wrogami, wśród strasznego ucisku, może łatwo serca porwać.

Pan w swym artykule krzywdę Polsce czynisz, poniżając jeden stan, który w walce narodowej zawsze czynny brał udział. Rzucając temu stanowi obelgi tylko, znieważasz Pan Polskę całą.

Uważam artykuł Pański za bardzo szkodliwy i wytłomaczyć muszę przesadę oskarżeń tylko jakiemś uniesieniem, gniewem chwilowym, jakąś nierozwagą, bo nie przypuszczam, żeby człowiek rozumny mógł po głębszej rozwadze wygłaszać zadania, tak tendencyjne, tak niesprawiedliwe.

Smuci mię to zwłaszcza, że pomieściłeś Pan artykuł w *Przeglądzie Wszechpolskim*. bo chciałbym, żeby to pismo, które dzielnie stoi na straży życia narodowego i broni sprawy polskiej, było wolnem od zarzutów. Wprowadzając w błąd pismo, szkodzisz Pan sprawie, której ono służy.

Niedawno właśnie czytałem w *Przeglądzie Wszechpolskim*, że stronnictwu demokratyczno-narodowemu udało się obalić ten mur chiński, zniszczyć to nieporozumienie, które pomiędzy inteligencyą, a klerem istniało. Udało się tę niechęć trochę złagodzić, ale takie, jak Pański, artykuły znowu ją zaostrzają. Nie pierwszym jesteś, który tę walkę zgubną wszczyna, który nienawiść budzi. Niestety, są takich krocie. Chcę oni spór zajątrzyć, nie bacząc, na czyją korzyść to czynią. Znałem poważnego i uczciwego człowieka, który gdy była mowa o niezwykle dzielnym księdzu, dodał lekceważąco: »a zawsze to ksiądz, więc zupełnie wierzyć mu nie można.«

Znam dyecezye mohylewską, wileńską i część kowieńskiej, znam setki księży i dla tego niesprawiedliwość Pańska mię oburza. Czy miałeś Pan prawo zaliczyć większość tych ludzi do kategoryi pijaków, karciarzy lub wydzierców ostatniego grosza?

Gdybym znał Pana i gdyby warunki naszego życia były inne, wezwałbym Pana na sąd honorowy, który by cię zmusił do odwołania niezasłużonych obelg. Niestety, nie mogę udawadniać słów moich wykazami nazwiskami, ale śmiało z ręką na sercu twierdzę, że oskarzenie, na większość kleru rzucone jest, niesprawiedliwem, zwłaszcza w stosunku do księży młodych. Tylko bardzo mała część z pomiędzy nich może

być zaliczoną do wyżej wymienionych kategoryj. Niesprawiedliwość wystąpi tym wyraźniej, jeżeli weźmiemy stosunek liczebny występnych do ogółu duchowieństwa i stosunek liczebny różnego rodzaju łotrów wśród innych stanów. Niestety p. p. krytycy nie mają tej »dobrej woli, uczciwego serca i rozwidnionego umysłu«, jak pisze p. Litwin, ażeby prawdę stwierdzić.

Kto zna życie kapłanów na Litwie musi przyznać, że spotkać wśród nich można i to wcale nie rzadko typy prawdziwie wielkie pracowników, pełnych poświęcenia. A praca ich ciągła i mozolna trwa życie całe. Nie przeczę, że są ułomności, że są księża źli, nawet występni, ale ci nie stanowią większości. Tymczasem p. Litwin większość obwinia.

Jeżeli kto u nas przez długie lata podtrzymywał lud w walce o wiarę i narodowość — to tylko księża, bo praca inteligencyi świeckiej nad ludem zaczęła się bardzo niedawno.

Duchowieństwo, szpiegowane i prześladowane przez policyę rosyjską, nie ustawało jednak w pracy. Ta praca nie była znana ogółowi inteligencyi. bo ją lud mało obchodził, może była niedostateczną, ale wskaż mi Pan inny stan, inną klasę, któraby lepiej i szczerzej służyła interesom ludu?

A są i owoce tej pracy, są zwycięztwa nad polityką rządu, które zawdzięczamy nie matactwom ugodowym, ale walce i oporowi księży.

Po trzydziestu latach musiał rząd wyrzec się wprowadzania do kościołów na Litwie języka rosyjskiego, bo wśród młodych księży, których p. Litwin potępia, nie mógł znaleźć, pomimo szczodrych obietnic, kandydatów, którzy chcieliby rusyfikować katolicyzm. Zbierano takich zdrajców z całego zaboru rosyjskiego, a jednak zaledwie garstkę znaleziono. Cofnął rząd przymusowe chodzenie dzieci katolickich do cerkwi nie wskutek polityki ugodowej, ale wskutek oporu księży. Zmuszony był rząd cofnąć prawo, nakazujące księżom wydawanie świadectw osobom, które zamierzały wstąpić w związki małżeńskie z prawosławnymi, bo było mnóstwo wypadków, że księża tych małżeństw odradzali. Zniesienie tego prawa miało skutek doniosły, bo odstraszyło lud od małżeństw mieszanych, gdyż dzisiaj trzeba brać świadectwa od policyi.

Wspominasz Pan, że tylko lud a nie księża obronili kościoły od rządu. Widzę i w tem nieznajomość stosunków, bo mogę przytoczyć niejeden wypadek, gdzie właśnie księża obronili kościół. Rząd lepiej zna siłę duchowieństwa, siłę tej zwartej falangi, której złamać nie potrafi. Ztąd ucisk księży i nienawiść ku nim rządu.

Czytałem niedawno w *Przeglądzie Wszechpolskim* i radzę Panu przeczytać spis księży, którzy za opór rządowi w sprawach kościelnych

lub narodowych ponieśli rozmaite kary, Proszę porównać tę liczbę ludzi, walczących z rządem z liczbą takich z innych sfer społeczeństwa.

I ja uwielbiam lud polski i litewski, jego opór, jego żywotność i miłość ojczyzny, ale nie zawaham się obok ludu postawić naszego kleru, którego inne narody pozazdrościć nam mogą, tych zwartych szeregów, dziesiątkowanych niejednokrotnie, a jednak mężnie opierających się uciskowi. Nie przeczę, że są wyjątki, są zdrajcy, szpiedzy i zaprzańcy wiary swej i ojczyzny. Potępiajcie ich surowo, nie mam nic przeciw temu, ale nie przenoście hańby z jednostek, dzięki Bogu nielicznych, na ogół kleru. Wiem, że nie ja jeden uwielbiam tych pracowników gorliwych a cichych, ale zdanie moje podziela większość społeczeństwa na Litwie. Tak źle nie jest, jak Pan pisze, występując niby to w imieniu ogółu, nie, pod artykułem Pańskim większość by się nie podpisała.

Co się tyczy sprawy narodowej, nie mogę tu publicznie wyjaśniać pracy duchowieństwa, bo zwróciłbym na nią uwagę rządu.

Jeszcze jedno. Zarzucasz Pan klerowi głupotę i nieuctwo. I w tem się z Panem nie zgadzam. Różnicę wykształcenia ogólnego pomiędzy inteligencyą świecką a nami stanowi zwykle parę klas gimnazyalnych. Ale stanowczo można więcej zrobić dla wykształcenia swego umysłu, pracując w seminaryum od rana do wieczora, niż robi większość młodzieży świeckiej w uniwersytetach.

Zarzucasz nam Pan, że tworzymy kastę. Chciałbym zapytać: kto więcej z ludem obcuje, czy my, czy inteligencya świecka? A że wielu księży stroni od inteligencyi, winić ich nie można. Na każdym kroku przecie znaczna część tej inteligencyi daje nam uczuć, że jesteśmy dla niej *klechami*. Nie trzeba się dziwić również, że wielu księży stroni od przedstawicieli różnych partyj, pracujących nad ludem, skoro ci przedstawiciele jawnie podkreślają swoją niereligijność, swoją nieprzyjaźń dla kościoła. Wy sami nie macie do nas szczerego serca, pełni jesteście przesądów, więc trudno się do was zbliżyć.

Tak, bądźcie sprawiedliwi; dużo wśród nas jest księży dobrej woli, dużo nie mniej od was ojczyznę kocha, ale nie możecie od ogółu kleru wymagać pracy wspólnej, dopóki stoi jeszcze ten mur chiński niechęci i nieufności, nie przez księży zbudowany.

A wróg cieszy się z tej dyzharmonii, a biedna Polska cierpi, bo taki stan rzeczy utrudnia pracę nad ludem. Lud nasz poczciwy nie umie być ani polskim nie-katolickim, ani katolickim nie-polskim, więc nim ręki sobie na miłość i zgodę nie podamy, nim miłością Polski połączeni nie zaczniemy wspólnej pracy, nie wiele dla ludu zrobimy. Historya powinna nas nauczyć zgody i jedności, bo dla braku ich Polska

upadła. Bodajby każdy zrozumiał, że tylko kościół i ojczyzna, razem połączone, mogą nas uczynić niezwyciężonymi. Źle, nikczemnie postępują ci księża, którzy pracę nad ludem potępiają, ale źle i ci robią, którzy rzucają obelgi niezasłużone na księży.

Ks. Józafat Żyskar
były proboszcz dorpacki.

KRONIKA.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

= Numer 36 *Robotnika* ukazał się 26. kwietnia, w dwa miesiące po schwytaniu w Łodzi tajnej drukarni, w której był dotychczas odbijany. Wiadomość, że nowy numer ukazał się w kilka dni po zabraniu drukarni była, to jak już pisaliśmy bajką. Każdy, kto wie jak trudnem jest urządzenie drukarni tajnej w zaborze rosyjskim, zrozumie, że wydanie numeru nawet w dwa miesiące po katastrofie wymagało niezwykłej energii i gorliwości.

Odezwa »Centralnego Komitetu robotniczego«, zamieszcza na czele numeru 36 zawiera wiadomość o odkryciu drukarni. Przytaczamy krótką odezwę dosłownie.

»W nocy 21 na 22 lutego o godzinie 3-ciej w czasie rewizyi w mieszkaniu Dąbrowskich (ulica Wschodnia Nr. 19 m. 4) w Łodzi odkryto naszą drukarnię. Oprócz różnych druków i rękopisów znaleziono 9 odbitych stronic 36 numeru *Robotnika*, który miał wyjść za dni kilka, i 4 stronice dodatku do tegoż numeru.

»Przypadkowy tryumf żandarmów organizacyi naszej złamać nie mógł. Po dwumiesięcznej przerwie oddajemy dziś w ręce czytelników Nr. 36 *Robotnika* z treścią zmienioną odpowiednio do potrzeb bieżącej chwili. Gdyby jednak i ta drukarnia wpadła w ręce żandarmów, to i to nas nie zgnębi i *Robotnik* będzie wychodził nadal tak długo tajnie, aż zaświta na ziemi naszej słońce wolności, które pozwoli nam mówić i działać jawnie«.

W tymże numerze *Robotnika* znajdujemy rysunek, przedstawiający schwytanie maszynę i szczegółowy opis drukowania na niej pisma. Ale, jak powiada redakcya:

»Maszyna — to rzecz martwa, możemy dziś pisać o jej zasługach, bo dzika zaciekłość naszych gnębicieli nie da jej się uczuć, ale o zasługach tych, co nad nią czuwali i przy niej pracowali, musimy jeszcze milczeć, by wiedzieć, co z ich cichej, pełnej znojnych trudów i nerwowych wysiłków pracy da się ujawnić przed światem. Być może już w następnym numerze *Robotnika* znajdą się bliższe wiadomości o nich; dziś serdeczny żal i podziw czytającego ogółu musi, jak i dawniej, otaczać osoby nieznane, a tak blizkie sercom naszym z owoców swej pracy«.

== Porozumienie się Watykanu z rządem rosyjskim w sprawie obsadzenia stolic biskupich już nastąpiło. Metropolitą mohylewskim ma zostać biskup Kłopotowski, sufragan żytomierski. Na objęcie przez ks. Simona katedry płockiej rząd rosyjski stanowczo się nie zgodził. Biskup Simon otrzymoł pozwolenie wyjazdu zagranicę i ma podobno zamiar udania się do Stanów Zjednoczonych po otrzymaniu tytułu arcybiskupa *in partibus infidelium.*

== Piszą nam z Płocka:

»W lutym r. b. odbył się w sali Hotelu Warszawskiego koncert, zainicyonowany przez tutejszego prezesa sądu okręgowego, a raczej żonę jego, panią Koczubej. Ponieważ pani owa nie mogła znaleźć dostatecznej ilości amatorów pośród Moskali, prosiła więc tutejszych urzędników sądowych, jako to pp. Brudnickiego rejenta, Kalinowskiego, Gurbskiego i Żochowskiego, kandydatów do posad sądowych, o współudział w tym koncercie.

Ma się rozumieć, iż panowie ci nie odmówili, lecz nawet bardzo byli zadowoleni iż mogą się pani prezesowej przysłużyć. Koncert odbył się, urzędnicy sądowi, za wyjątkiem niewielu, byli obecni na nim, ponieważ nie chcieli, jak sami mówili, narazić się prezesowi. Dziwi nas tu jednak wszystkich, iż taki jeden i drugi pan, którzy w rzeczywistości są zupełnie od prezesa niezależni, byli jednakowoż na owym koncercie i werbowali gorliwie znajomych aby nie być samym. Dochód z owego koncertu był podzielony w równych częściach dla tutejszego Towarzystwa dobroczynności i prawosławnego przytułku. Najdziwniejszem z tego wszystkiego jest, iż wymienieni wyżej panowie bywają nadal przyjmowani w tutejszem towarzystwie i cieszą się dobrą opinią, ponieważ wytłomaczyli się ze swego postępowania mówiąc, iż... padli ofiarą.

»W tych dniach zdarzył się u nas wypadek, godny wzmianki. W sądzie okręgowym tutejszym żegnano p. Piotra Milewskiego, Polaka, byłego członka sędu tutejszego, obecnie regenta w Zawierciu czy też Pabjanicach, który odznaczył się w służbie szczególną gorliwością. Będąc sędzią, został wydelegowany na rewizyę ksiąg rejentalnych. Podczas rewizyi zaszedł do kancelaryi jednego z rejentów i znalazł w księdze aktów zamiast rosyjskich polskie pokwitowania, co jest prawem wzbronione, właściwie przy polskich pokwitowaniach powinny rosyjskie tłomaczenia, czego nie było. P. Milewski, jako gorliwy urzędnik, zadenuncyował owego rejenta, któremu sąd okręgowy tutejszy wytoczył proces. Z wyroku sądu ów rejent został zawieszony w swych czynnościach.

J...

== B. dyrektorowi teatru lwowskiego p. Hellerowi cofnięto z rozkazu Imeretyńskiego pozwolenie na urządzanie przedstawień teatralnych w Warszawie i wogóle w Królestwie. Powodem tej dotkliwej kary ma być podobno wystawienie w teatrze lwowskim *Sybiru*, a zwłaszcza *Kordyana.* Niektóre pisma przypuszczają, że jest to odpłata za Nadinę Sławiańską.

== W ostatnim (4) numerze *Przedświtu* znajdujemy następującą wiadomość z Warszawy:

»Dnia 29 kwietnia zebrało się na wezwanie Warszawskiego Komitetu Robotniczego w Alejach około 20.000 manifestantów. Przyszło do starć z kozakami i wojskiem. Pomocnik oberpolicmajstra Seifart obity kijsmi. Imeretyński spotkany okrzykami »precz« i wyrzuconą w górę czerwoną płachtą. Kozak obity własną nahajką. Szpicel zbity kijami. Tłumy przeciągały, śpiewając »Czerwony Sztandar« i »Warszawiankę«. Nr. 36 »Robotnika« rozpowszechniony po całym kraju wśród powszechnego entuzyazmu«.

To się nazywa blaga warszawsko-londyńska, iście reporterska.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

— W sprawie prywatnej nauki języka polskiego w Poznańskiem zapadł ważny zasadniczy wyrok poznańskiego sądu okręgowego. Mieszkająca w Poznaniu prywatna nauczycielka panna Omańkowska udzielała bezpłatnie nauki polskiego czytania i pisania dziewczętom polskim, do szkół uczęszczającym. Policya skazała ją za to na grzywnę w kwocie 100 marek, zarazem zagroziła, że kara ta spotka ją ponownie, jeżeliby nauki nie zaniechała. — Nauczycielka oświadczyła, że zapłaci karę tylko na mocy sądowego wyroku. Policya postanowiła wyegzekwować grzywnę, lecz przymusowe fantowanie, przeprowadzone w mieszkaniu nauczycielki, było bez rezultatu. Wówczas prezydyum policyi zarządało przysięgi manifestacyjnej przed sądem okręgowym w Poznaniu. Atoli poznański sąd okręgowy odrzucił wniosek policyi, ponieważ przysięgę manifestacyjną można odbierać tylko na mocy wyroku sądowego.

W motywach odmowy powiedziano, iż przedewszystkiem sąd nie nabrał przekonania, aby udzielanie pięciu dziewczynkom, chodzącym do szkoły, bezpłatnej nauki języka polskiego można było uważać za szkołę prywatną, niedozwoloną przez władze, jak to zauważono ze strony władzy policyjnej.

— *Lech* donosi, iż w rozmaitych miejscowościach Księztwa Poznańskiego odbywają się od pewnego czasu rewizye u uczniów gimnazyalnych, Przy rewizyach tych profesorowie-Niemcy szukają przedewszystkiem książek polskich treści patryotycznej, lub antyrządowej. Skutkiem takich rewizyj wydalono już dotychczas trzech uczniów gimnazyalnych, — przed samymi egzaminami maturalnemi: Kazim. Chrzanowskiego — z gimnazyum krotoszyńskiego, Jana Kutznera — z gimnazyum trzemeszeńskiego i Rosińskiego — z gimnazyum ostrowskiego. Jan Kutzner, jako pochodzący z Królestwa Polskiego, wydalony został z pozbawieniem prawa uczęszczania do jakichkolwiek szkół w Prusach.

W Krotoszynie odbyły się także rewizye u wielu uczniów niższych klas. Konfiskowano, jako »corpus delicti«, takie książki jak »Historyę polską« Chociszewskiego, »Historyę porozbiorową« Skarbka, »Lalkę« Prusa, »Literaturę« Nehringa, kilka numerów »Małego światka«, pisma dla dzieci, wychodzącego we Lwowie i t. p.

— Z Poznania donoszą, iż władze szkolne coraz bardziej ograniczają naukę języka polskiego, mianowicie w gimnazyach i innych szkołach śred-

nich. Ostatnimi czasy zniesiono naukę języka polskiego we Wschowie, Międzyrzeczu, Bydgoszczy i Lesznie, a ograniczono ją w Inowrocławiu i Krotoszynie. W poznańskiem gimnazyum katolickiem nauka języka polskiego w ubiegłem półroczu zimowem została ograniczoną do jednej tylko godziny tygodniowo, a obecnie władza szkolna zaproponowała uczniom, biorącym udział w tej nauce, aby i tę jedną godzinę poświęcili na inne przedmioty. Rząd zastanawia się nad kwestyą zniesienia nauki języka polskiego we wszystkich innych gimnazyach i szkołach realnych W Ks. Poznańskiego.

═ Przy wyborach do sejmu pruskiego w okręgu chojnicko-tucholsko-człuchowskim (Prusy Zachodnie) przeszedł w drugiem głosowaniu kandydat narodowo-liberalny. W pierwszem głosowaniu miał kandydat polski p. Wolszlegier 200 głosów, kandydat centrum ks. Gehrt 68, kandydat liberalny Ossiander 261. Niemcy katolicy nie chcieli jednak dać głosów kandydatowi polskiemu i powtórnie głosowali na ks. Gehrta, a niektórzy nawet wprost na p. Ossiandra, który zwyciężył jednym głosem, miał bowiem za sobą 266 wyborców na 531 biorących udział w drugim wyborze.,

═ D. 24 maja odbędzie się w Poznaniu wiec kobiet wielko-polskich »celem wspólnej narady nad środkami najskuteczniejszej obrony dzieci, usuwanych od nauki języka polskiego a przedewszystkiem od nauki religii w języku ojczystym«. Jasno określony, praktyczny cel zebrania odróżnia je korzystnie od mętnych programów podobnych wieców galicyjskich. Dodać trzeba że w Poznańskiem niemal wyłącznie kobiety zajmują się prywatną nauką języka polskiego.

═ Komisya kolonizacyjna w kwietniu kupiła 8 majątków, z tych 6 w Poznańskiem i 2 w Prusiech Zachodnich. Największe oburzenie wywołał fakt sprzedaży majątku pod Mogilnem przez p. Rożańskiego, »powszechnie szanowanego« obywatela, człowieka zamożnegp. Nawet względny zazwyczaj dla sprzedawczyków *Dziennik poznański* oburzył się w tym wypadku i biada, że opinia publiczna jest dla takich jak p. Rożański zbyt pobłażliwą Na pociechę niektóre pisma zaznaczają, iż włościanin Firlej z Przementu kupił folwark Górsko, 1200 morg obszaru. Niewielka to, co prawda, pociecha, bo gdyby chociaż z rąk niemieckich odkupił, ale nie — właścicielką folwarku była Polka. Dodatnie znaczenie faktu polega na tem, że włościanie Polacy, którzy się dorobili grosza, wytwarzać zaczynają nową kategoryę większych właścicieli ziemskich.

Z GALICYI.

═ Z Tarnopola donoszą do jednego z pism codziennych:

»Czytelnicy może sobie przypomną głośną w swoim czasie sprawę uwięzienia w Rosyi Kądzielskiego z Podwołoczysk. Było to w r. 1893, jak Kądzielski, restaurator i właściciel pierwszorzędnego hotelu w Podwołoczyskach, człowiek młody, lubiany, otrzymał rzekomo od przyjaciela z Kijowa telegram, wzywający by do niego zaraz przyjechał. Depesza była niestety

sfałazowana przez policyę rosyjską — i Kądzielski, gdy tylko na terytoryum rosyjskie przyjechał, został uwięziony. Tymczasem do mieszkania jego w Podwołoczyskach wpadła policya rosyjska, rozbiła zamki — rewizyę przeprowadziła i co potrzebne zabrała. Uwięzienie nastąpiło rzekomo z powodu propagandy »anarchistycznej«. Kądzielski obecnie donosi jednemu ze swoich znajomych, p. Barączowi, pełnomocnikowi dóbr Kołtowskich, że odbył już katorgę i ma być wysłanym na posielenie do Czyty za Bajkałem.«

Nie znamy tej sprawy, z dalszych jednak wyjaśnień okazuje się, że władze miejscowe nie stawiły policyi rosyjskiej żadnego oporu, a rząd austryacki z właściwą mu obojętnością nie reagował wcale na pogwałcenie swego terytoryum.

== *Knryer lwowski* zaznacza, że biskup krakowski ks. Puzyna figuruje w spisie dygnitarzy masońskich, pomieszczonym w poważnem wydawnictwie lipskiem *Die katholische Kirche und die Freimauerei.* Nazwisko jego znajduje się również w indeksie masońskim, dołączonym do odczytów o wolno-mularstwie p. Fuchsa prezydenta Rady państwa i gorliwego katolika.

== Niedawno osądzona sprawa nadużyć w powiatowej kasie oszczędności w Wieliczce, nie była, niestety, w prasie galicyjskiej należycie oświetloną, a jest bardzo charakterystyczną. Okazało się np. że marszałek powiatowy i zarazem prezes Rady nadzorczej, poseł sejmowy p. Czecz nietylko wiedział o różnych nadużyciach, ale, jak sam zeznał, kazał fałszować bilans... ze względów podatkowych, t. j. dla oszukania skarbu państwa. I po tem zeznaniu nietylko nie pociągnięto p. Czecza do odpowiedzialności, ale jest on nadal dygnitarzem powiatowym i posłem, a dzienniki nazywają go czcigodnym obywatelem.

== Dyrektor szkoły realnej krakowskiej naśladując pedagogów rosyjskich, nietylko nie pozwolił młodzieży wziąć udziału w uroczystości narodowej 3 maja, ale nawet surowo ukarał nieposłusznych.

O godzinie wpół do 7 rano zebrało się w kościele OO. Franciszkanów kilkudziesięciu uczniów szkoły realnej z kokardkami. Kilku uczniów wzięło udział w pochodzie i nieprzyszło do szkoły. Wymierzono za to »zapaleńcom« po 16 godzin karceru, zapisano im po trzy godziny nieusprawiedliwione i zagrożono obniżeniem noty z obyczajów o dwa stopnie. Nie koniec na tem. W uroczystym wieczorku »Sokoła« wzięło udział kilkudziesięciu uczniów. Odebrano za to »niebezpiecznym przewrotowcom« na cały tydzień pauzy międzygodzinne, tak że od 8 nauka trwa bez przerwy do godziny pierwszej.

Dziwna rzecz, że pisma miejscowe bardzo łagodnie skarciły ten haniebny postępek lojalnego pedagoga, albo nawet nie wspomniały o nim wcale.

== Arcybiskupem lwowskim ma podobno zostać biskup sufragan poznański, ks Likowski. Kandydatura ta została podniesioną na konferencyi, jaką miał kardynał Kopp z cesarzem Franciszkiem Józefem. Biskup Likowski jest mężem światłym, cnotliwym i szczerym patryotą polskim i obok ks. Hryniewickiego uważać go można za najgodniejszego kandydata na arcybiskupstwo lwowskie. Faktorowanie jednak w tej sprawie zawziętego wroga

naszego, kardynała Koppa każe przypuszczać, że chodzi tu rządowi pruskiemu o usunięcie z Poznania ks. Likowskiego, ażeby na jego miejsce powołać Polaka ugodowca lub Niemca i żeby uniemożliwić mu na wypadek śmierci ks. Stablewskiego zostanie arcybiskupem gnieźnieńskim i poznańskim.

= W powiecie borszczowskim od kilku tygodni strejkują robotnicy rolni, włościanie ruscy. Wyzysk pracy był tam straszny, dosyć powiedzieć, że płacono za dzień 20 centów i niżej. Niemal wyłącznie strejkują włościanie w majątkach, należących do Żydów lub przez nich dzierżawionych. Zaznaczają to nawet pisma ruskie, które, mówiąc o strejku, nie powtarzają tym razem zwykłych inwektyw przeciw Lachom, przeciwnie, podnoszą postępowanie z robotnikami kilku właścicieli ziemskich Polaków.

= Czytamy w dziennikach galicyjskich:

»Ponieważ w urządzeniu kongresu, zapowiedzianego na drugą połowę lipca r. b. w Krakowie, władze uznały przekroczenie statutem określonego zakresu działania Tow. »Szkoły ludowej« i nie udzieliły zezwolenia na jego odbycie, przeto Żarząd główny towarzystwa odstąpił od zwołania kongresu«.

Zaiste, podziwu godną jest potulność Zarządu głównego, który pokornie zastosował się do zakazu, niewątpliwie bezprawnego.

Z KRESÓW.

= Sejm śląski odmówił subwencyi z funduszów krajowych gimnazyum polskiemu w Cieszynie. Jednocześnie tenże sejm przyznał rocznie na niemieckie gimnazyum w Widnawie 4000 kor., na wyższą szkołę realną w Bielską 5400 kor. w Karniowie 5000 kor., w Cieszynie 8000 kor. ewang. niemieckiemu zakładowi nauczycielskiemu w Bielsku 2000 kor. na klasę przygotowawczą przy rządowem niemieckiem gimnazyum w Cieszynie 3200 kor., na niemiecką szkołę leśniczą w Hranicach na Morawie (?) 2400 kor. i na niemieckie miejskie gimnazyum we Frydku 10.000 kor. Dodać trzeba, że w księztwie cieszyńskiem Niemcy stanowią nie więcej, jak 15% ludności.

= Redakcyę Mazurskiej *Gazety Ludowej* w Ełku objął p. Hugon Bahrke, młodszy brat założyciela pisma, który skazany na więzienie i znaczną karę pieniężną musiał opuścić Prusy

= *Dziennik śląski* w korespondencyi z Królewskiej Huty podaje fakty, świadczące wymownie, jak policya postępuje z towarzystwami polskiemi na Górnym Śląsku. Ostatniej niedzieli Towarzystwo przemysłowe urządziło teatr; na trzy dni przed tem zjawił się komisarz policyi u przewodniczącego i wypytywał się ilu jest członków w Towarzystwie. W sobotę nadeszło pozwolenie — z tem zastrzeżeniem, iż wstęp do teatru ma być dozwolony ylko członkom Towarzystwa i pisemnie zaproszonym gościom, i to w liczbie gólnej, nie przewyższającej 431 osób. W niedzielę przed południem komiarz przyszedł znowu i badał spis członków. Na godzinę przed przedstawieiem zjawił się po raz trzeci i to w towarzystwie dwóch policyantów, których

ustawił we drzwiach i kazał im pilnować, aby osób nie mających zaproszenia nie puszczano, aby nazwiska wszystkich wchodządzych zapisywano. Gdy zaś z powodu zniechęcenia, goście zaczęli się gromadzić w przedsionku, narzekając na komisarza, kazał zamknąć kasę.

Z WYCHODZTWA I KOLONII

== W kilku pismach polskich, przeważnie socyalistycznych znajdujemy następującą odezwę, którą chętnie zamieszczamy, jakkolwiek nie nadesłano nam jej:

»Rodacy! Bolesław Limanowski, nestor polskiego sycyalizmu, wytrwały i nieprzejednany patryota, zasłużony socyolog i filozof, obchodzi w jesieni r. b. czterdziestoletni jubileusz swej tak pożytecznej pracy pisarskiej.

»Obowiązkiem całej postępowej części naszego nardu jest godnie dowieść Czcigodnemu Jubilatowi swojej wdzięczności i uznania.

»W tym celu utworzył się w Paryżu, w miejscu jego zamieszkania, Komitet, który postanowił wydać książkę pamiątkową i złożyć ją w darze Jubilatowi.

Komitet ten wzywa Was, Rodacy, abyście składki na ten cel, będące tylko spełnieniem świętego obowiązku, nadsyłali na ręce jego skarbnika. W imieniu komitetu: dr. Henryk Gierszyński, Ouarwille (Eure et Loire), dr. Józef Zieliński, skarbnik, 30, place de la Nation, w Paryżu«.

== Sprawozdanie VII Skarbu Narodowego zawiera oprócz zwykłych informacyi ustawę instytucyi i krótki wstęp, właściwie odezwę Komisyi Nadzorczej.

„Rozprawiamy i deklamujemy o niepodległości Polski, opieramy się biernie zagładzie, którą wrogowie nasi nam poprzysięgli, ale wyglądamy jakbyśmy niezdolni byli do obrony czynnej. Bo czyż to taką tylko kwotę w sumie ogólnej Skarbu Narodowego po 13 latach zbierania wykazać powinniśmy?

„Isnieją u nas liczne stowarzyszenia filantropijne: jedne z nich płacą dług ludzkości, drugie i dla przyszłości coś robią, ale jedyną instytucyą, która jawnie dla niepodległości Polski pracuje, jest Skarb Narodowy. Nie ofiar, nie jałmużny instytucya ta od nas wymaga, ale podatku obowiązkowego, bo tak jak w dawniejszych czasach, tembardziej w dzisiejszych żadna praca dla odzyskania niepodległego bytu nie może być przedsiębraną bez środków materyalnych. Irlandczycy 10 razy od nas biedniejsi dla odzyskania swoich swobód w ciągu lat kilku zebrali milion. Boerowie od napadu Jamesona przygotowywali się do walki i gromadzili zapasy, a my zawsze z Kornelem Ujejskim wyczekujemy pomocy od sił nadprzyrodzonych i wyczekujemy napróżno. »Szczęść Boże« mówi lud nasz do tych, którzy pracują, ale nie do tych, którzy z założonemi rękami siedzą.

„Dlaczego idea Skarbu Nar. w społeczeństwie naszem nie znajduje więcej uznania? Czyż może grozi Skarbowi jakie niebezpieczeństwo? Ci, którzy o to się obawiają, niech przyczytają ustawę, niech przeczytają także w 1-szem sprawozdaniu ustęp, który tu powtarzamy: »Pod względem praw-

nym fundusze skarbowe zapisane są nie na osoby prywatne, lecz na instytucyę, posiadającą byt legalny, jaką jest Muzeum Narodowe w Rapperswylu. Komisya Nadzorcza żadnych sum nie odbiera ani nie wydaje«. Fundusze Skarbu są więc pod opieką ludzi, którzy od wczesnej młodości do podeszłego wieku sprawie narodowej z zaparciem się interesów własnych służyli.

»Gdzież tu jest miejsce na podejrzenia o bezpieczeństwo Skarbu, gdzie miejsce na insynuacye, których gadzinowa i lokajska prasa stała się echem? Bezpieczeństwo Skarbu jest zupełne, a podawanie go w wątpliwość jest tylko niezręczną wymówką dla uchylających się od obowiązkowego podatku na sprawę narodową.«

W chwili układania sprawozdania fundusze Skarbu tak się przedstawiały:

Według sprawozdania Nr. VI było w kasie skarbu	158990 fr. 73 cent.
W 1899 r. wpłynęło:	
Za pośrednictwem Związku Wychodztwa Polskiego .	2000 fr.
Za pośrednictwem Komisyi Skarbu w Paryżu .	2606 „ 80 cent.
Za pośrednictwem Komisarza Skarbu na Stany Zj. Ameryki Półn.	3631 fr. 44 cent.
Za poośrednictwem Muzeum w Rapperswylu .	3689 „ 65 „
Z procentów wpłynęło 6869 fr. 04 cent. Ponieważ jednak z procentów, które wpłynęły po dzień 31 lipca 1899 r., wydano, stosownie do ustawy, Komisyi Nadzorczej, 4314 fr. 14 cent., a ta przeznaczyła fundusz powyższy organizacyi krajowej dla szerzenia oświaty politycznej ludu; przeto z procentów dołączono do kasy Skarbu . . .	2454 fr. 90 cent.
Razem .	173393 fr. 52 cent.
Dołączając do sumy powyższej 3414 dol. 47 c. złożonych jako depozyt w kasie naszego Związku, co stanowi około	17072 fr.
i pozostające w kasie skarbu w Paryżu . .	562 fr. 10 cent.
Otrzymamy ogólnę sumę skarbu dnia 1. lutego r. b.	191016 fr. 62 cent.

W r. b. Skarb przekroczy sumę 200.000 fr. Jest to fundusz bardzo skromny w porównaniu z potrzebami sprawy narodowej. Pocieszającym objawem nazwać można tylko powiększanie się od paru lat sumy składek z kraju, mianowicie z Królestwa i Galicyi.

Komisyę Nadzorczą skarbu stanowili w 1899 r.:

Prezes-Sekretarz: Zygmunt Miłkowski, zamieszkały w Zurichu. Wiceprezes: Dr. Henryk Gierszyński, w Ouarville. Członkowie: Ob. Erazm. J. Jerzmanowski, w Prokocimie pod Krakowem; Dr. Zygmunt Laskowski, w Genewie; Dr. Karol Lewakowski, w Rapperswylu. Członkowie zastępcy: Dr. Ernest Adam, we Lwowie; ob. Henryk Bukowski, w Sztokholmie; Bronisław Szwarce, we Lwowie. Kontrolerowie: ob. Teofil Witkowski, w Zurichu; ob. Ludwik Dygat i ob. Stanisław Kośmiński, w Paryżu.

== *Czas*, zaniepokojony od pewnego czasu »widmem konspiracyi, zamieścił obszerny artykuł o rewelacyach filadelfijskiego dziennika *Evening Telegram*, który podał następującą wiadomość telegraficzną z Chicago.

»Naczelnicy polskich kół narodowych w naszem mieście oznajmiają, że istnieje tajna Liga Narodowa polska, rozciągająca się na Europę i Amerykę. Istnieje ona nietylko od lat czternastu, lecz od wybuchu ostatniej walki o niepodległość Polski w roku 1863«. Pan Frank H. Jabłoński opowiadał *Evening Telegramowi* następujące rzeczy: »Otrzymaliśmy wiadomość o licznych uwięzieniach w Warszawie, lecz aresztowania, jakie nastąpiły we Lwowie, są zupełną niespodzianką. Sprawa ta jest zagadkową. Prawdą atoli jest powszechnie wiadomą, że istnieje tajna Narodowa Liga w Warszawie — kto wchodzi w skład jej zarządu, powiedzieć nie mogę. — Planem Ligi jest przygotowanie i wywołanie ogólnego powstania w Polsce na wypadek wojny między Rosyą a Anglią — i to jest powodem, dlaczego wielu Polaków z Warszawy i innych miejsc Polski zaciąga się do pułków angielskich — lecz ci ochotnicy polscy nie są wysyłani, jak twierdzili niektórzy korespondenci, do Transvaalu, lecz do Azyi — gdzie jest oczekiwane pierwsze starcie Anglii z Rosyą. Naturalnie, że i w austryackiej Polsce są ludzie, którzy chcą wspomagać swoich współrodaków z pod rządu rosyjskiego i to jest powodem aresztowań we Lwowie«.

P. F. H. Jabłoński, b. prezes Związku Narodowego w Stanach Zjednoczonych jest człowiekiem poważnym i jeżeli rozmawiał z korespondentem *Evening Telegram*, to z pewnością nie dawał mu takich fantastycznych informacyj. Po prostu reporter tego dziennika, zapamiętawszy coś piąte przez dziesiąte, po amerykańsku rzecz całą ubarwił, *Czas* zaś wziął to wszystko za dobrą monetę i powtórzył, nie pytając nawet, czy były jakiekolwiek aresztowania polityczne we Lwowie.

== W Kurytybie od 1. kwietnia wychodzić zaczęło drugie pismo polskie dwutygodnik p. t. *Praca*,

Czy wydawanie drugiego pisma było potrzebnem, skoro istniejąca od lat wielu *Gazeta polska* nie może pozyskać odpowiedniej liczby prenumeratorów — rozstrzygać nie będziemy, nie znając dokładnie stosunków miejscowych.

Nowe pismo pod względem literackim przedstawia się nieźle, razi w niem jednak ton przeważnie polemiczny i zbyt wysoko nastrojony.

Wygrażanie urojonym »zdrajcom« i »wichrzycielom«, »bo ciężkie razy na nich spadną«, zapowiadanie »smagania bez litości« winowajców, ostrzeganie »nieprzyjaciół naszych innych narodowości«, żeby się nie mieszali do spraw polskich, bo »dostaną taką naukę, że raz na zawsze wypuszczą nas ze swojej opieki« — to wszystko śmieszna przesada, świadcząca zarazem o nierozumieniu właściwych zadań pisma, które powinno służyć radą i informacyami czytelnikom nie zaś wydawać wyroki na złych a świadectwa pochwalne dobrym — w przekonaniu redakcyi — obywatelom.

== P. Gruszecki, który niedawno wrócił z Brazylii, w sprawozdaniu ze swej wycieczki, zamieszczonem w *Tygodniku ilustrowanym*, ostro ale w znacznej części słusznie skrytykował działalność lwowskiego Towarzystwa handlowo-georaficznego, zwłaszcza zaś pp. Kłobukowskiego i J. Siemiradzkiego, zarzucając tym ostatnim blagę, nieznajomość stosunków i świadome szerzenie kłamliwych i przesadnych wiadomości o Paranie, o rzeko-

mych bogactwach tego kraju i rzekomej przewadze w nim ludności polskiej. Zarzuty swoje p. Gruszecki poparł dowodami i cyframi, wykazującymi, że p. Siemiradzki podawał fakty wymyślone lub fałszywe. Wydany przez niego »Opis stanu Parana«, zalecany i rozdawany emigrantom przez agentów, jest po prostu tłomaczeniem broszurki, napisanej w r. 1893 w celu reklamy na wystawie w Chicago i zawierającej np. ustawę o wydzielaniu gruntów, obecnie już zniesioną.

Na te zarzuty p. Siemiradzki nie odpowiadał wcale, lub odpowiedział wykrętnie. Zaznacza np., że broszurę przetłomaczył na żądanie Towarzystwa handlowo-geograficznego. Ale przecie uczciwy człowiek nie będzie tłomaczył, dajmy na to, bezeceństw pornograficznych, chociażby wydawcy tego żądali i dobrze mu płacili. Zresztą tekst broszury zawiera tylko blagę, fałszywe zaś wiadomości są oryginalnym dodatkiem p. Siemiradzkiego.

Zamiast odpowiedzi rzeczowej p. Siemiradzki z napuszonością indyka i właściwą temu ptakowi inteligencyą, plecie trzy po trzy o tem, że jest ofiarą jakiejś intrygi uknutej przez *Przegląd wszechpolski* i p. p. Dmowskiego i Bieleckiego do spółki z »niejakim« p. Gruszeckim. Ten »niejaki« p. Gruszecki, z którym zresztą *Przegląd wszechpolski* nie ma nic wspólnego, jest znanym i utalentowanym pisarzem, podówczas gdy o »jakimś« tam p. Siemiradzkim w szerszych kołach społeczeństwa nikt nie wie, chociaż wysila się on wciąż na reklamowanie swego nazwiska i osoby.

Dla braku miejsca nie rozpisujemy się szerzej o tej sprawie, wrócimy jednak do niej w numerze następnym, bo trzeba raz przecie rozprawić się stanowczo z blagą, nieuctwem i śmieszną niedorzecznością pewnych osobistości, których pisma i działalność szkodzą tylko doniosłemu zadaniu zorganizowania emigracyi i kolonizacyi polskiej.

Z OBCEGO ŚWIATA.

— Z powodu przywrócenia znienawidzonej za czasów tureckich dziesięciny, chłopi w wielu okolicach Bułgaryi powstali przeciw rządowi i zamordowali lub pobili urzędników podatkowych.

Na wieść o tych rozruchach udał się prefekt Ruszczuku w towarzystwie prokuratora i pod opieką silnego oddziału wojska, pozostającego pod rozkazami pułkownika Georgiewicza, do Trsteniku. W chwili jednak stanowczej pułkownik oparł się użyciu broni przeciwko zbuntowanym chłopom, powołując się na potrzebę specyalnego rozkazu od ministra wojny. Również oświadczyć miało kilku oficerów, że nie pozwolą swym ludziom strzelać do chłopów. Wobec tego prefekt ocalił się ucieczką i później dopiero, otrzymawszy od rządu wystarczającą pomoc wojskową, powrócił na miejsce rozruchów. Tymczasem jednak nadeszły z całej okolicy uzbrojone, a po części i konne zastępy chłopów, pod dowództwem rezerwistów armii bułgarskiej, na pomoc zbuntowanym, zburzywszy po drodze bliską ukończenia linię kolejową pomiędzy Ruszczukiem a Tyrnową. W środę ubiegłą przyszło pomiędzy chłopami którzy w sile 20 do 30 tysięcy skupili się w Trsteniku, a wojskiem z Ruszczuku, Szumli i Tyrnowy, pozostającem pod rozkazami pułkownika Dranderewskiego, do formalnej bitwy. W bitwie tej podług urzę-

dowego sprawozdania, poległo lub poniosło rany 200 do 250 chłopów i żołnierzy, rzeczywista jednak liczba ofiar jest daleko większa.

Z rozruchów tych korzystają agenci rosyjscy. Konsul rosyjski w Ruszczuku rozdał, jak stwierdzono, znaczne sumy agitatorom. Zbuntowani chłopi oświadczają, że nie chcą znać księcia i oddają się pod opiekę cara.

— Na posiedzeniu delegacyj austryacko-węgierskich Czesi wystąpili bardzo ostro przeciw hr. Gołuchowskiemu. Poseł Slama tak stanowisko jego scharakteryzował:

„Stał on się z rzemiosła twórcą wszystkich austryackich gabinetów, począwszy od r. 1895. Przy narodzinach każdego on był akuszerem, ale i on też współdziałał przy upadku każdego z nich“.

Dalej wspomniał p. Slama o konszachtach hr. Gołuchowskiego z hr. Thunem, celem zgniecenia opozycyi czeskiej, i tak mówił dalej:

„Dziś nie jest to żadną tajemnicą, ale faktem, historycznie stwierdzonym, że hr. Gołuchowski w walce językowej, począwszy od r. 1897, stoi przeciwko nam (Czechom) i zalicza się do największych nieprzyjacieli czeskiego narodu. — Naród nasz błogosławić będzie ustąpienie jego. Jak hr. Badeni odszedł żegnany niewygasłą nigdy wdzięcznością ludu naszego, tak hr. Gołuchowskiemu, dopóki nie przestanie być ministrem, co, daj Boże, aby się jak najprędzej stało, towarzyszyć będzie głęboka a uzasadniona nienawiść, a imię jego pozostanie w dziejach naszych na zawsze, jako imię tego, który był intelekualnym sprawcą krzywd, wyrządzonych narodowi naszemu przez odebranie mu najświętszych praw jego.

„Między nami a hr. Gołuchowskim nie może być innego stanowiska, jak wojenne. Było by bowiem hipokryzyą po naszej stronie, gdybyśmy inaczej mówili, i inaczej myśleli, a tak jak my mówimy i myślimy, tak myśli cały nasz lud“.

Następnie p. Slama wspomniał o masowem wydalaniu robotników polskich i czeskich z Niemiec w przeddzień przyjazdu cesarza austryackiego do Berlina.

„Nie jest moją rzeczą, abym opowiadał o rozgoryczeniu, jakie powstało skutkiem tego barbarzyństwa, ale zapytam hr. Gołuchowskiego, czy jest mu ten fakt znany, co uczynił i jakie kroki przedsiębrał, aby temu zapobiedz i jakim te kroki uwieńczone zostały rezultatem?“

W odpowiedzi p. Gołuchowski usprawiedliwiał rząd pruski, bo usiłował nawet dowieść, że wydalania są uzasadnione i że nie mają charakteru prześladowania narodowego. Podobno w nagrodę za usługi, wyświadczane Niemcom austryackim i pruskim hr. Gołuchowski ma wkrótce zostać księciem.

— Do dzienników północno-amerykańskich piszą z Rio-Janeiro:

«Doniesiono tu z nad granicy Brazylii i Uraguayu, że do stanu Rio Grande do Sul, przybywają coraz większe transporty materyałów wojennych a między tymi potężnych armat Krupa. Wszystkie gazety federacyjne jednogłośnie godzą się na to, że w całej tej aferze tkwi ręka rządu niemieckiego, który oddawna uknuł plan oderwania południowych Stanów Brazylii a mianowicie Rio Grand do Sul, Parany i Santa Catharina (we wszystkich tych Stanach mieszkają polscy wychodźcy. Przyp. Red.) i w połączeniu z Uraguayem utworzenia nowego Związku, pod opieką flagi niemieckiej.

Konsulowie niemieccy i cała sfora tajnych agitatorów pracują nad tą sprawą oddawna bardzo gorliwie.

Pisma tutejsze: *Gazeta de Noticias* i *Citade de Rio* pomieściły cały szereg artykułów w tej sprawie, wyjaśniając lub demaskując tajemne plany niemieckie, Pierwsze z nich pisze, że Niemcy korzystając z obecnych kłopotów Stanów Zjednoczonych, umyśliły stanowczo uzyskać protektorat nad całą południową Brazylią, co jest prawie równoznaczne z zamienieniem takowej na kolonię niemiecką. Gazeta ta wskazuje na fakt znamienny, że obszar Brazylii, na jakim teraz prawie wyłącznie rozgospodarowali się niemieccy koloniści, jest daleko większy, aniżeli obszar, zamieszkały przez Niemców w Europie».

W doniesieniach o sprowadzaniu materyałów wojennych jest zapewne sporo przesady, nie ulega jednak wątpliwości, że różne «kolonialne», »wszechniemieckie» i "hakatystowskie« związki mówią coraz głośniej o zagarnięciu pod »opiekę« Niemiec Brazylii południowej. Właśnie z powodu tych planów północno amerykański minister oświadczył niedawno, że nadchodzi chwila, kiedy Stany Zjednoczone będą musiały wyrzec się w polityce zasady Monroe'go (Ameryka dla Amerykanów), albo stoczyć o nią stanowczą walkę. Dodać należy, że Niemcy w Brazylii południowej oświadczają, że nie życzą sobie bynajmniej »opieki» potężnej ojczyzny europejskiej.

Bezpośrednim powodem zwrócenia uwagi patryotów niemieckich na południową Brazylię jest obawa kolonizacyi polskiej, wywołana lekkomyślną i szkodliwą przesadą w rozgłaszaniu przez naszych »kolonizatorów» lwowskich niezwyłych jakoby jej postępów. Zwłaszcza wydanie broszury w języku francuskim, podającej fałszywe wiadomości o rzekomem panowaniu żywiołu polskiego w Paranie, było krokiem nierozważnym a nawet szkodliwym, bo nie miało żadnego rozsądnego celu.

═ Wiedeński dziennik socyalistyczny *Arbeiter Zeitung* tak pisze o demonstracyi 29 kwietnia w Warszawie.

„W Warszawie odbyła się tym razem wielka uroczystość majowa. Pomimo zakazu zebrały się tysiące robotników w pochodzie uroczystym, który maszerował przez szereg ulic. Wszystko byłoby się spokojnie zakończyło, gdyby demonstranci nie zostali zaatakowani przez policyę i wojsko. Masy, osaczone i brutalnymi atakami podrażnione, stawiały możliwy opór za pomocą lasek i kamieni. Wypadki te, wywołane skutkiem zawinienia władz, miały niestety bardzo smutne następstwa. Jak donosi jedno z pism niemieckich wypadło ukaranie tych polskich socyal-demekratów nadzwyczaj surowo. „Hersztów" — ośmiu robotników, dwóch studentów i jedną kobietę zasądzono na dożywotnie zesłanie na Sybir i roboty przymusowe w kopalniach ołowiu. 70 robotników, 33 studentów, 4 kobiety, lekarza i restauratora zasądził rząd rosyjski na 3 letni pobyt na Sybirze. Wszyscy zesłańcy znajdują się w drodze na Sybir. Wielu mężczyzn pozostawiło rodziny niezaopatrzone.

»Reszta 190 robotników, 85 studentów i 19 kobiet, aresztowanych 1 maja, zasądzonych zostało na więzienie od roku do 4 lat«.

Nie trzeba wykazywać niedorzeczności i kłamliwości tego doniesienia o rzekomych wyrokach. Dziwić się tylko można, że socyaliści galicyjscy w Wiedniu nie prostują takich bredni i kłamstwo. Widocznie uważają je za dobry środek reklamy.

= Wspominaliśmy już dawniej, że Finlandczycy, skoro tylko zaostrzył się ich stosunek do Rosyi, utworzyli w Londynie komitet narodowy, którego jednem z głównych zadań jest informowanie opinii publicznej w Europie o sprawie finlandzkiej. Komitet ten zawiązał stosunki z podobnym komitetem ormiańskim, istniejącym również w Londynie i wydającym tam pismo pod tyt.: *Druszak.* Otóż to pismo zamieściło niedawno ciekawy artykuł, dowodzący, że Rosya, która, jak Rzym starożytny pochłania różne narodowości, musi się rozpaść. Polska, Finlandya, Kaukaz, Turkiestan, nawet Sybir, a może i Małorosya utworzą samodzielne organizacye państwowe. *Druszak* porusza myśl solidarnego działania wszystkich ujarzmionych przez Rosyę narodów, mających świadomość swej odrębności politycznej. Pisaliśmy o tem niejednokrotnie i sądzimy, że urzeczywistnienie tego planu będzie dziełem bliskiej przyszłości. Polacy, Finlandczycy i Ormianie, jako narodowości najbardziej politycznie wyrobione i mające zupełną świadomość odrębności swych interesów, najprędzej porozumieć się mogą, tembardziej, że nie ma pomiędzy ich dążeniami żadnego antagonizmu.

OD REDAKCYI.

W numerze poprzednim przytoczyliśmy wziętą z *Nowej Reformy* wiadomość, że naczelnik »Ochrony« szpiegowskiej w Warszawie Rackowski przebywał w Galicyi pod nazwiskiem Obrąpalskiego, od siebie zaś dodaliśmy, że jakiś Obrąpalski bawił istotnie w r. z. we Lwowie i kręcił się w kółkach młodzieży. Obecnie z porównania fotografii i na podstawie innych dowodów uważamy za swój obowiązek zaznaczyć, że prawdziwy czy rzekomy Obrąpalski, który był we Lwowie, nie jest Rackowskim.

P. Obrąpalskiego spotkała wielka przykrość, która powinna go nauczyć, żeby na przyszłość był ostrożniejszym w zawieraniu stosunków i znajomości. Ci sami bowiem, którzy się z nim przyjaźnili, rozpuścili potem wiadomość, że jest on szpiegiem.

Faktem jest zresztą, niedawno znów stwierdzonym w *Naprzodzie*, że Rackowski przebywał w Galicyi niewątpliwie pod nazwiskiem Stanisława Obrąpalskiego.

— *S. S. B. w Ost.* We Włocławku policmajster urządził po pijanemu awanturę w teatrze z powodu, że muzyka nie chciała grać powtórnie hymnu „*Boże caria chroni*“. Z rozkazu policmajstra wkroczyło do teatru wojsko i aresztowało sporo osób. W sprawie tej zarządzono śledztwo. Policmajster dostał dymisyę.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Dr. Tadeusz Dwernicki. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego